1951 — Nr VII



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Na okładce: Św. Józef z Dzieciątkiem, bawiącym się ptaszkiem
Mal. Murillo

Sprawy redakcyjne jak np. artykuły, fotografie, listy do redakcji kierować na adres: Redakcja „Pod Opieką św. Józefą" Kraków, ul. Rakowicka 18.

Pieniądze prenumeraty za numery do grudnia 1950 r. przesyłać na Konto: Wydawnictwo Karmelitów Bosych Kraków IV-842/115.

Zamówienia oraz opłatę miesięcznika od stycznia 1951 r. prowadzi wyłącznie

Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch"
P. K. O. Kraków — Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe Nr IV-9451/110

Prenumerata musi być opłacana zawsze z góry, najdalej do 20-go poprzedniego miesiąca. Niezapłacenie prenumeraty, względnie jej nieodnowienie powoduje automatycznie przerwanie dostawy pisma.



Ś. † P.

ADAM STEFAN SAPIEHA

Kardynał - Prezbiter, Książę Arcybiskup Metropolita Krakowski

*** 14. V. 1867 — † 23. VII. 1951**



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Nr 7. 1951 Rok VI.

Mąż Wiary

Pierwsza spośród cnót teologicznych, czyli boskich jest wiara. Polega ona na tym, że uznajemy prawdy objawione nie z powodu ich oczywistości, bo tej najczęściej brak, ale z powodu prawdomówności Boga objawiającego, który się nie myli i innych w błąd wprowadzić nie może. Cała zasługa płynąca z wiary polega na tym, że człowiek spełniając akt tej cnoty, oddaje Bogu cześć, stawiając ponad wszystko Jego autorytet. Wszystkie racje za i przeciw muszą ustąpić na plan dalszy, pozostaje tylko jedna racja — to mówi Bóg Nieomylny.

Cnota wiary, aby była prawdziwą cnotą, musi posiadać pewne niezbędne cechy. Katechizm wylicza cztery przymioty, którymi powinien być przybrany każdy akt wiary chrześcijanina katolika. Wiara powinna być: powszechna, mocna, żywa, stała. Często słyszy się wyrażenie: heretyk, herezja. I cóż to znaczy? To znaczy, że czyjaś wiara nie jest powszechna, czyli że ktoś nie uznaje jednej lub więcej prawd, które rzeczywiście Bóg objawił a Kościół katolicki podał do wierzenia. Nieraz człowiek, który zerwał z Kościołem i przeszedł do wyznawców jakiejś fałszywej sekty, przekonuje wszystkich, że wierzy, lecz wiara jego jest niekompletna. Jest naczyniem poszczerbionym, które niegdyś zachwycało harmonią kształtów, a teraz odpycha wyłamaną szczerbą.

Dalej wiara katolicka powinna być mocna. Powinna się oprzeć wszelkim wątpliwościom, temu wszystkiemu, co zdaje się przeczyć jej prawom. Wiara w życiu naszym jest kolumną, na której opiera się gmach życia nadprzyrodzonego, jest słupem mocnym, który chroni młode drzewo od burz i wiatrów. Ale co stanie się ze sklepieniem Bożej świątyni, jaką jest nasza dusza, jeśli wiara — ta kolumna podtrzymująca cały ciężar — okaże się za słaba? Runie i swoim ciężarem przygniecie wszystko, co znajdzie się poniżej. Co stanie się z drzewkiem które ma przynieść owoce na żywot wieczny, skoro chroniąca je wiara ulegnie

nawałnicy? Zamiast podtrzymać pociągnie drzewinę ku ziemi, a może i złamie.

Wiara żywa — to wiara wprowadzona w życie! Jeśli u katolika nie ma miłości bliźniego, jeśli nie postępuje według zasad sprawiedliwości, jeśli nie zważa na to, co mu wiara nakazuje, albo czego zabrania, wówczas wiara jego martwą jest, bo jak mówi św. Jakub Apostoł: „Wiara jeśliby nie miała uczynków, martwa jest sama w sobie" (Jan, 2, 17). „Nie każdy, który mówi: Panie, Panie, wnijdzie do królestwa niebieskiego; ale który czyni wolę Ojca Mego" (Mat., 7, 21). Duszą, która ożywia wiarę, jest miłość; ona człowieka przynagla do czynów i dodaje mu sił. Ona człowieka stawia w pełnej wartości, bo formy i obrzędy zewnętrzne nie mają istotnego znaczenia wobec Boga, „ale wiara, która przez miłość działa" (Gal., 5, 6).

I wreszcie czwartą cechą wiary winna być stałość. Chwiejność zawsze wzbudza pogardę u otoczenia, przeciwnie człowiek stały w swych przekonaniach zdobywa szacunek, nawet pośród nieprzyjaciół. I właśnie o ludzi stałych toczy się zawsze najbardziej zacięty bój. Każda społeczność chce ich mieć w swoich szeregach, bo na nich można się oprzeć bez obawy.

Dziś szczególnie potrzeba Kościołowi św. członków, którzy by się odznaczali wiarą, wiarą wyposażoną w owe cztery konieczne przymioty. Aby słabnącym braciom dodać sił i odwagi, by pomóc zbłąkanym w powrocie do Chrystusowej owczarni, by zanieść wiarę tym, co jej światła nigdy nie widzieli, trzeba przede wszystkim samemu najpierw niezachwianie wierzyć w to, co się głosi. Żeby innym dawać, trzeba wpierw posiadać. I tu leży cała trudność. Bo jesteśmy ludźmi i dopóki żyjemy na świecie, aby coś mieć musimy gdzieś czerpać, sami z siebie bowiem nic nie mamy. Na chrzcie św. zaszczepił Bóg w duszy naszej latorośl wiary, ale przez całe życie trzeba pracować nad nią, trzeba dostarczać jej odpowiedniego pożywienia, by nie zmarniała, byśmy z jej owoców i sami mogli czerpać siły i bliźnich obdzielić. Takim odżywczym pokarmem dla naszej wiary są przykłady świętych jaśniejących tą cnotą, a szczególnie św. Józefa, który pod tym względem jest prawdziwym olbrzymem.

Nic wprawdzie w Piśmie św. nie powiedziano wprost o jego wierze, ale są takie wyrażenia, na podstawie których musimy koniecznie przyznać, że cnota wiary u św. Józefa była niezwykle rozwinięta. Św. Paweł w liście do Żydów mówi, że, „bez wiary nie podobna jest podobać się Bogu" (Hebr., 11, 6). Zatem wiara św. Patriarchy była naprawdę wielka, skoro Bóg tak sobie w nim upodobał, że go uczynił przybranym ojcem Jezusa i małżonkiem Przenajświętszej Dziewicy. Gdzie indziej powiada tenże Apostoł: „Sprawiedliwy z wiary żyje" (Rzym., 1, 17).

A wiadomo że Ewangelista, aby scharakteryzować Opiekuna Jezusowego, nie znalazł lepszego wyrażenia nad to: „A Józef mąż jej będąc sprawiedliwym“ (Mat., 1, 19). Stąd wniosek, że skoro był sprawiedliwym musiał żyć z wiary. A teraz, jak wyglądały akty wiary w życiu naszego Świętego:

Wiara św. Józefa było powszechna. Powszechność ta była wprawdzie trochę inna, niż powszechność u katolika w czasach obecnych, ponieważ wtenczas nie istniał jeszcze Kościół Chrystusowy podający prawdy objawione do wierzenia. Lecz istniała Synagoga, która tłumaczyła autentycznie prawdy zawarte w Piśmie św. Istnieli doktorowie uczeni w piśmie, których obowiązkiem było wykładać niezbyt jasne wyrażenia prostemu ludowi. Nieraz spotykamy się z nimi w Ewangelii. A Chrystus Pan mówi o nich: „Na stolicy Mojżeszowej zasiedli Doktorowie i Faryzeusze. Wszystko tedy, cokolwiek wam rozkażą, zachowajcie i czyńcie; ale według uczynków ich nie czyńcie“ (Mat., 23, 2—3). Istniały więc prawdy, w które trzeba było wierzyć, istniała wiara w Mesjasza. Św. Józef nosił w swym sercu i zachowywał wszystkie przepisy prawa z tak wielką dokładnością i głębokim zrozumieniem, że zasłużył sobie na przydomek sprawiedliwego. Już to samo rzuca dostateczne światło na powszechność jego wiary.

Lecz jak wiadomo, św. Józef otrzymywał również osobiście od Boga różne nakazy. Wykonuje je natychmiast z delikatną skrupulatnością. Czy to wtedy, gdy otrzymał rozkaz przyjęcia Maryi w dom swój, czy też przy ucieczce do Egpitu, czy w końcu przy powrocie do ojczyzny, wszędzie prześwieca głęboka wiara we wszelkie słowo, które pochodzi z ust Bożych.

Trudno .sobie wyobrazić, żeby św. Patriarsze nie przychodziły wątpliwości. Bo zazwyczaj fakty zdawały się mówić coś wręcz przeciwnego niż Boże zlecenia. Niekiedy pokorny cieśla czuł się jakby połamany i zmiażdżony tymi faktami, a jednak wiara jego wciąż z tą samą mocą mówiła: Józefie synu Dawidów nie bój się przyjąć Maryi małżonki twej; uciecz do Egiptu z Dzieciątkiem, bo ono naprawdę jest obiecanym Mesjaszem. Ani ubóstwo, ani zwyczajne i proste życie Jezusa i Maryji nie osłabiły tego przekonania, które w jego duszy wyryły słowa anielskie, chociaż tylko na śnie zasłyszane. Wiara jego do końca pozostała mocną. Nigdy nie żądał znaku jak Mojżesz, Gedeon, lub Zachariasz.

Trudy i poświęcenie, z jakim św. Józef zabiegał około utrzymania dwóch najbliższych i drogich sobie osób, dowodzą niezbicie, że w sercu jego płonęła miłość, która ożywia wiarę. Ona mu słodziła chwile wygnania, nią krasił każdą pracę, każdy akt który spełniał dla Jezusa i dla Jego ukochanej Matki. Z jakąż serdecznością i delikatnością odnosił się do nich w codziennym życiu, bo dzięki swej żywej wierze wyczuwał

bezmiar nadprzyrodzonego piękna kryjącego się w tych duszach zwierzonych jego opiece.

Już dawno ucichły śpiewy anielskie, które słyszał nad stajenką w świętą noc Narodzenia. Ciągłe borykanie się z trudnościami materialnymi, zdawać się mogło, że chciałyby zatrzeć w nim owe słowa o pokoju przyniesionym na świat. Ostrzeżenia, jakie mu Bóg dawał na śnie, już się przestały powtarzać, a od tych dawnych dzielił go cały szereg znojnych dni, tysiące uderzeń siekiery. Pełne radości przeżycia mogły się już dawno zatrzeć pod wpływem ciemnego pyłu, który się unosił w ciesielskim warsztacie. Lecz mimo wszystko pamięć tych nadprzyrodzonych wydarzeń tkwiła w umyśle św. Józefa wciąż świeża i niezatarta. Żadne przeciwności, żadne ofiary poniesione w ciągu kilkunastu lat nie zdołały naruszyć jego wiary. A czyż owo błogosławieństwo Jezusa: „Błogosławieni, którzy nie widzieli a uwierzyli" (Jan, 20, 29), nie odnosi się w pierwszym rzędzie do św. Józefa? Wszak on nie tylko nie widział tego, w co wierzył... Owszem, widział, ale wszystko przeciwnie niż wiara mówiła. Naturalnym biegiem rzeczy, będąc opiekunem Mesjasza, mógł się spodziewać wygód, czci i dostatku, a tymczasem doświadczył wzgardy, ucisku i ubóstwa. Nie było to jednak powodem rozczarowania, ponieważ wiara jego była stała.

W naszym życiu również zdarzają się chwile, że jakaś prawda wiary wydaje się taka twarda i nie do przyjęcia. Niekiedy ogarniają nas wątpliwości. Jakżeż nieraz trudno zachować to lub owo przykazanie. Ileż to razy przywiązanie do stworzeń bierze górę nad nakazami wiary. Wtenczas trzeba się zwrócić do św. Józefa o pomoc a on nam wyjedna u Boga, że potrafimy znaleźć w sobie tyle siły, by iść drogą wiary, że potrafimy rozpoznać kierującą nami rękę Pańską i skłonić głowę przed Najświętszą Wolą Bożą.

Karmelita Bosy.

CZŁOWIEK ROZSĄDNY NIE MYŚLI SPRZECZNIE Z ROZUMEM, ŻADEN CHRZEŚCIJANIN — W SPRZECZNOŚCI Z PISMEM ŚWIĘTYM, A POKÓJ MIŁUJĄCY MYŚLI ZAWSZE ZGODNIE Z KOŚCIOŁEM.

ŚW. AUGUSTYN, DE TRINIT. IV, 10.

DAR CZCI MIŁUJĄCEJ



Oddawanie czci ujmuje się jako jeden z obowiązków sprawiedliwości. Sama sprawiedliwość dotyczy tego, cośmy winni innym; są jednak pewne powinności, których z natury dokładnie uiścić nie można: nie można odpłacić Bogu za wszystkie dobra, dlatego mówimy o cnocie religii tj. czci Bożej raczej niż o sprawiedliwości wobec Boga. Podobnie nie można wypłacić się rodzicom czy ojczyźnie, dlatego mówimy właśnie o czci miłującej, p i e t a s. Chodzi tu przede wszystkim o cześć należną rodzicom, lecz zawiera się tu również obowiązek opatrzenia ich potrzeb materialnych. W odniesieniu do Ojczyzny nie jest to sprawa uczuć, lecz realnej miłości i służby *).

Chodzi nam o coś jeszcze więcej: o to abyśmy zachowali stale postawę czci, wprost, ayśmy darzyli Boga i bliźniego taką czcią, w której by się miłość ujawniała. Podczas, gdy cnota czci miłującej oddaje komu należy szacunek i troskę synowską, to dar zaś czci miłującej

*) Ojczyzną jest nasz kraj rodzinny z jego ziemią, kulturą i tradycją. Winniśmy jej wielki dług i do niej odnosi się cześć miłująca. Lecz w miarę jak cały świat staje się coraz bardziej jednością, zakres p i e t a s się rozszerza; w pewnym stopniu jesteśmy zobowiązani wobec wszystkich krajów, z których korzystamy materialnielub kulturalnie, a ostatecznie wobec całego świata. Patrząc na inne kraje nie politycznie, lecz w powszechności Kościoła, będącego we wszystkich krajach, nie przeceniamy granic narodowych; o postępie politycznym można myśleć tylko w terminach dobra całego świata.

prowadzi do miłości dziecięcej wobec Boga: „otrzymaliście dar przyjęcia synowskiego, przez który wołacie Ojcze“! Dar ten stwarza więź inną, niż cnota religii; do odczucia faktu stworzenia dodaje miłosne zaufanie dziecka do Ojca, do czci dodaje poczucie zażyłości z Ojcem niebieskim. Cnota religijności czci Boga jako Stwórcę, a dar nasz wprowadza intymną więź z Bogiem, umożliwiającą życie z Trójcą Św.: z Chrystusem i przez Chrystusa na nasz sposób w życiu Trójcy św. uczestniczymy. Dar ten sprowadza postawę dziecka, jeden z istotnych składników życia chrześcijańskiego i koronuje tę postawę dając nam miłość całej rodziny bożej. Wlewa nie tylko cześć i służbę Bogu, ale i służbę ludziom, o ile do Boga należą, skłaniając nas do pomocy potrzebującym.

Dwie rzeczy chodzą w parze: „Jeżeli Mię miłujecie, chowajcie przykazania Moje“; lecz wszystkie przykazania opierają się na prawie miłości Boga i bliźniego. Nie można udawać miłości Boga, nie służąc ludziom jak braciom: drugie jest sprawdzianem pierwszego.

Każdy z nas jest jedyny. Stąd każdy ma wnieść rodzinie ludzkiej jakiś dar jedyny, rodzicom, rodzeństwu, a potem ojczyźnie i światu. Dom ludzkości, jak dom rodzinny, jest zbudowany z darów każdego z nas: darów gospodarczych, politycznych, kulturalnych i religijnych każdego obywatela. Społeczeństwo jest dla człowieka, lecz w pewnym znaczeniu i człowiek jest dla społeczeństwa. Potrzebuje go do swego pełnego rozwoju, lecz musi także służyć społeczeństwu dla swej pełni; bez życia służby skazuje się na egoizm, a przez to nigdy nie osiągnie pełni. Żyjemy więc najpierw w jedności domu, myślimy o jego ulepszeniu i uszczęśliwieniu; budując swój dom, myślimy także o potrzebach bliźnich, ojczyzny, świata. Jest to życie miłości.

Te wszystkie wartości zdobywamy w długim wysiłku wierności Bogu w drobiazgach. Wzrost w tych wartościach zależy od naszego wzrostu w modlitwie, odwadze i cierpliwości. Ćwicząc się w uległości i pokoju z Bogiem, stajemy się również spokojni we współżyciu z bliźnimi. Nasza wiara w Opatrzność, nie przekreśla naszych ambicyj lub wpływania na wydarzenia, lecz jeśli wysiłki nasze nie są skuteczne, a ludzie sprawiają nam kłopot, nie wolno poddawać się przygnębieniu; wszystko jest w ręku bożym, i nadal ludzkość uważać trzeba za rodzinę.

Życie działania zależy od życia modlitwy. Aby mieć cześć miłującą w życiu trzeba ją mieć w modlitwie, trzeba praktykować modlitwę czci. Bóg pozostanie straszliwą tajemnicą, wobec której jesteśmy niczym; lecz także naszym Ojcem, i pełen czci lęk dziecka wobec nieznanego, staje się stopniowo pełną czci miłości Ojca. „Święć się Imię Twoje“. — Transcendentny jest blisko, bardzo blisko, bo jest naszym Ojcem, budzącym w nas ufność i miłość dziecka.

Cześć miłująca jest więc konieczną cechą w naszej postawie wobec

Boga i ludzi. Ostatecznie te dwie rzeczy stanowią jedno: bo najlepiej uznajemy Ojcostwo boże w towarzystwie naszych braci; najlepiej się modlimy i pracujemy w rodzinie: „Gdzie was jest dwóch lub trzech zebranych w Imię moje, tam Ja jestem". Myślmy o tym zwłaszcza podczas Mszy św., bo taka gorliwość jest zakaźna. Modląc się żarliwie wpływamy w tym kierunku na innych, a sami może żarliwości innych zawdzięczamy swą gorliwość. Z tego samego powodu należy podtrzymywać dawną tradycję modlitwy rodzinnej. Uświęca ona dom, czyni go jednym w miłości, a życie rodzinne realną czcią Boga.

A jak można obrazić Boga, raniąc życie rodziny? Najpierw przez gniewy i wynikające z niego sprzeczki i kłótnie. Są jednak jeszcze uchybienia mniej podpadające, choć szkodliwe. Niektórzy nie wpadają w szał, lecz są wrażliwi i obraźliwi za głupstwa; są inni, którzy, są mniej obraźliwi, ale i mniej przebaczający; rozgryzają swą krzywdę i myślą o zemście za urojone nieraz lekceważenie. Jest to powolne zatruwanie duszy, uniemożliwiające życie rodzinne i cześć bożą. Powiedziano przecież, że „jeśli przyniesiesz dar do ołtarza, a brat ma coś przeciw tobie, zostaw dar, pojednaj się, a potem wróć i złóż dar twój Bogu". Należy tu również robić rachunek sumienia ze stosowania dowcipu i humoru. Dowcip jest cennym darem, ale wymaga delikatności. Podmuch jego trzeba czasem miarkować. Byłoby tragiczne zabijać humor, bo cóż jest cenniejszego w życiu rodzinnym? Ale musi zawsze przebijać przez niego miłość. — A oto dziedzina mowy: sarkazm, ironia i złośliwość, to rejony, w których łatwo o bardzo ciężkie uchybienia. Dar wywoływania śmiechu, to rzecz miła, ale jego nadużycie jest wstrętne.

Jak z mową, tak i z całą osobowością: jest zaprzeczeniem czci miłującej, gdy ktoś jest w drobiazgach nawet ciężki, cierpki lub bezradny; jest oznaką dobroci być zawsze słońcem w życiu rodziny i w życiu innych. I tu również moralność nie jest czymś negatywnym: cześć miłująca nie jest tylko unikaniem uchybień, lecz pozytywnym obowiązkiem radowania bliźnich. Mówiąc nawiasem, gniew jest jednym tylko z wykroczeń w tej dziedzinie; oto jego przeciwieństwo: niewrażliwość na zło i dobro. Gniew obrócić trzeba na zapał w dokonywaniu rzeczy trudnych i wymagających odwagi. A oto nienawiść i zazdrość, jeszcze bardziej burzące duszę i rodzinę; a oto ich krewniaczki: plotki i oszczerstwa. Spotyka się czasem urodzonych inkwizytorów, wyżywających się w plotkach i zbieraniu zeznań. Należy się strzec złudnej i fałszywej motywacji takiego postępowania: inkwizytorzy wmawiają w siebie, że czynią to dla dobra innych, gdy w rzeczywistości jest to tylko podłe życie kreta, pławienie się w bajkach lub poniżanie innych.

Można jeszcze inaczej obrazić cześć miłującą w rodzinie: oto świadomie złe zachowanie, wulgarność grająca innym na nerwach, dziwactwo stanowiące próbę cierpliwości dla ludzi normalnych, ostentacja

i afektacja pochodząca z pychy, oto snobizm, będący formą ślepoty, oto korzystanie z usług, jako czegoś należnego, lub chroniczne, karygodne żerowanie na pracy innych, przy jednoczesnym udawaniu „zapracowania". A oto jakaś marna niewrażliwość, nieciekawość wobec otoczenia, będąca jakąś umysłową stagnacją, brakiem życzliwości czy poczucia odpowiedzialności.

Z drugiej strony występkiem jest nieustanne, żądne wypatrywanie informacyj, aby wszystko wiedzieć o wszystkich. Jest to występek i dlatego również, że odrywa człowieka od ważniejszych obowiązków, że jest marnotrawstwem czasu, że jest bezlitosną inkwizycją, dla której nie ma nic świętego. Są np. ludzie nieuważający za ciężkie zło czytania cudzych listów. Wszystko to jest antyspołeczną niezdolnością pilnowania własnego interesu. Trzeba interesować się rodziną ludzką, ale to nie oznacza bajczarskiej ciekawości.

Można także wykroczyć przeciw czci miłującej ponurością, brakiem dobrego słowa dla bliźnich; z drugiej strony nie można być gadułą, przy każdej sposobności wylewającym strumień pustych frazesów.

Nie dobrze jest gdy ktoś jest zawsze cierpki i bez humoru, ale nudne i niebezpieczne jest gdy ktoś jest zawodowym wesołkiem. Wszystko to, jeśli nie jest grzechem, jest niedoskonałością. Przykro jest współżyć z ludźmi zamkniętymi jak grób, ale gorsze są jeszcze paple, które wypaplą i to, czego nie ma. Nie do zniesienia są ci, którzy są zawsze gotowi „obejmować rządy", kontrolować i być zawsze w środku sceny; ale może być czasem przeciwne czci miłującej gdy ktoś nie chce nigdy mieć z tym nic wspólnego.

Warto pamiętać, że do czci miłującej należy pielęgnowanie poczucia dobrego humoru: trzeba jednak pozwolić innym także śmiać się z nas; trzeba także śmiać się raczej z ludzkich małostek niż rozgoryczać się nimi. Nie jest cnotą być niekrytycznym; ale sąd nasz nie może być pospieszny i gniewny, a rozwój krytycyzmu musi iść w parze z rozwojem delikatności i dobroci.

Cześć miłująca jest cnotą, lecz trzeba nam również jej daru, jeśli mamy praktykować ją w pełni i samorzutnie. Traktując Boga jako Ojca, automatycznie uważamy innych za braci i kochamy ich w jedności rodziny bożej, tak że miłość nasza do nich i do Boga, jest jedną miłością.

„Na końcu będziecie sądzeni z miłości". Miłość rodziny, małej i dużej, jest próbą naszej miłości Boga. Magdalenie odpuścił Chrystus wiele, bo wiele umiłowała. Byłby to najpiękniejszy napis na naszym nagrobku: „Miłośnik Boga i ludzi". Jeśli przez całe życie pracować będziemy, aby kochać i służyć bliźnim, to w końcu powie nam Bóg, że wiele się nam odpuszcza, bośmy wiele umiłowali, i okazali miłość Boga przez miłość bliźnich.

Ks. Dr Marian Rzeszewski

BŁOG. WINCENTY PALLOTTI



Błogosławiony Wincenty Pallotti był pierwszym, który został w roku jubileuszowym wyniesiony na ołtarze. Odpowiadało, aby wśród uroczystości jubileuszowych w Mieście świętym uczczono najpierw tego, który był najwyższą jego chlubą i ozdobą rzymskiego kleru. Wincenty Pallotti urodził się w 1795 r. dnia 21 kwietnia, z ojca Piotra Pawła, trudniącego się drobnym handlem i Marii Magdaleny de Rossi, jako trzecie z dziesięciorga dzieci. — Pierwsze nauki pobierał u księży Pijarów, gimnazjalne w kolegium księży Jezuitów. Nauki filozoficzne i teologiczne zakończył chlubnie na uniwersytecie rzymskim Sapienza, otrzymując stopień doktora. Miał wszystkie dane, aby się stać człowiekiem nauki. Przez kilka lat był nawet profesorem nadzwyczajnym na uniwersytecie Sapienza. Jednak Bóg przeznaczył mu inne powołanie i działalność. Zostawszy kapłanem w 1818 roku oddał się z całym zapałem pracy duszpasterskiej, która stała się główną namiętnością jego życia. Dla niej to poświęcił karierę naukową. Spostrzegł nawet, że służąc bliźnim łatwiej będzie mu się ustrzec pychy właściwej umysłom zbytnio zadufanym w swą wiedzę. Pallotti obdarzony był umysłem bystrym i ciętym, ale współdziałając z łaską, złagodził jego wybujałości przez delikatność i pokorę. Jego ideałem było całkowicie upodobnić się do Chrystusa, który uważał, że nie na to przyszedł na ziemię aby być obsługiwanym, ale żeby służyć. Porzucając profesurę powiedział sobie: „Destruatur vita mea, et



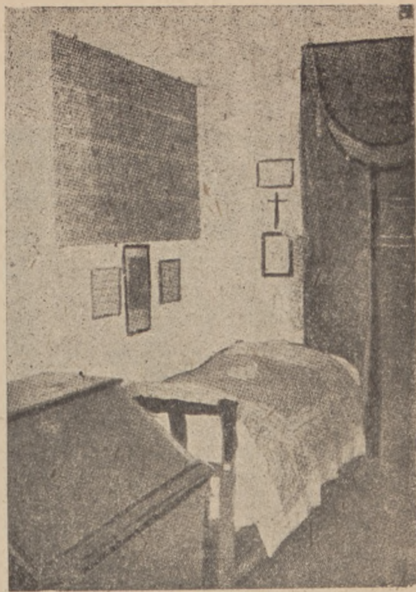
Dom, w którym urodził się Pallotti.

vita Christi sit Vita mea". — Niech zniszczeje życie moje, a niech życie Chrystusa stanie się życiem moim. — Pallotti to typowy apostoł wyniszczający się aż do śmierci.

Trudno wyliczyć wszystkie rodzaje pracy, jakim się oddawał. Znano go na wszytkich ulicach Rzymu i we wszystkich bramach domów. Teren jego pracy nie ograniczał się do konfesjonału i ambony. Młość bliźniego każe mu służyć szeroko. Zakłada więc przytułki dla opuszczonej dziatwy. Organizuje pomoc dla biednych i chorych, spiesząc do nich na poddasza i nie lękając się schodzć do ciemnych suteren. W kaplicy na Janikule prowadzi rekolekcje. Równocześnie jest spowiednikiem w kilku seminariach, więzieniach i szpitalach. Mawiano, że gdy go nie ma w domu, na pewno jest gdzieś w więzieniu lub szpitalu. Pallotti miał szczególne szczęście do wszystkich wykolejonych ludzi. Kto prowadził skazańców pod szubienicę? Paliotti. Kto spieszył zawsze do zatwardziałych grzeszników, nie chcących się przed śmiercią pojednać z Bogiem? — Pallotti. Kto to był, co w najgorszych łobuzach miejskich wzbudzał szacunek? — to Pallotti!

Dziwne, że ten człowiek, który skłonny był do zajęć bardziej umysłowych, który pierwotnie poszukując samotności zgłaszał się do kapucynów, i nadomiar był słabego zdrowia, oddawał się równocześnie tylu sprawom. Był snadź opatrznościowym zesłańcem z nieba dla współczesnych, szczególnie dla uciśnionych, biednych, którzy cierpieli z powodu niesprawiedliwego podziału dóbr. Pallotti cierpiał nad tym głęboko i wołał o reformę. Chcąc ulżyć biedocie mieszkającej na obszarach latyfundiów, i wyzyskiwanej przez nieludzkie czynsze, zakładał kasy oszczędnościowe, szkoły gospodarcze i inne instytucje wspomagające ubogich rolników.

Przy tych wielkich zasługach myślał jednak o sobie bardzo pokornie. Uważał siebie za „nicość i grzech — nihilum et peccatum". W życiu codziennym zachowywał iście Franciszkową surowość i ubóstwo. Co zaoszczędził, to wydawał na ubogich. Jeszcze chłopcem będąc podarował raz biednemu buty i pończochy. Dobroczynność rozwinęła się u niego z wiekiem w szeroką działalność. Przez ręce jego płynęły tysiące lirów na potrzeby ubogich.



Pokój i łoże śmiertelne Pallottiego.

Swój zapał apostolski i miłość bliźniego zapragnął przelać w nową rodzinę, która by po jego śmierci prowadziła nadal dzieło. W tym celu w r. 1835 tworzy „Towarzystwo Apostolatu Katolickiego". Zrzesza także w podobne Zgromadzenie i niewiasty, oddając mu różne dzieła przez siebie powołane do życia. Cel jego Zgromadzenia: „Chwała nieskończonego Boga, zniszczenie grzechu, zbawienie dusz". Patronką: Maria Niepokalana, Wspomożycielka wiernych. Podstawą organizacyjną: Posłuszeństwo Zastępcy Chrystusa. Program: Wszechstronna praca nad rozszerzeniem katolickiej wiary i miłości.

CHLEB ŻYWY



O dniu swej pierwszej Komunii świętej napisała św. Teresa od Dzieciątka Jezus te znamienne słowa: „Nareszcie zawitał dla mnie dzień, piękny ponad wszystkie dni w życiu! Niewymownie słodkie wspomnienie pozostawiły mi w duszy najdrobniejsze szczegóły tych godzin błogosławionych".

A dalej pisze święta: „Ale ani chcę, ani umiem wszystko wypowiedzieć: są rzeczy, które w zetknięciu się z powietrzem tracą woń swoją: bywają myśli tajemne, nie dające określić się mową, bo wtedy zaraz tracą swe głębokie niebiańskie znaczenie" (Dzieje duszy, r. IV).

Wreszcie, święta nasza kończąc opisywać przeżycia owego szczęśliwego w swym życiu dnia, czyni to charakterystyczne wyznanie: „Skończył się wieczór tego dnia ślicznego. Tak zawsze bywa; po dniach najradośniejszych następuje ciemność; sam tylko dzień wiecznej komunii w ojczyźnie niebieskiej nie będzie miał wieczoru. Nazajutrz — b y - a m s m u t n a. Piękne stroje, upominki nie zapełniły mi serca! Jezus tylko mógł je odtąd zadowolić; wzdychałam do błogosławionej chwili, w której Go przyjmę poraz drugi. Nastąpiło to w uroczystość Wniebowstąpienia i wtedy miałam szczęście przyklęknąć do Stołu Pańskiego

---

Dokończenie ze str. 10

W działalności swojej Pallotti nie ustawał aż do końca, choć czuł się juz źle. W r. 1859 wielkie misje ludowe, zaprowadzone przezeń w dniu Trzech Króli i corocznie odprawiane, nadwyrężyły poważnie jego siły. Na domiar idąc do domu z kazania oddał po drodze jakiemuś ubogiemu swój płaszcz. Wskutek chłodu przeziębił się śmiertelnie. Zmarł 22 stycznia 1850 r. Już po dwóch latach podjęto badania jego życia. Po pięćdziesięciu latach otwarto jego grób i znaleziono ciało nieskażone. W roku 1931 Pius XI orzekł, że Wincenty Pallotti posiadał cnoty w stopniu heroicznym. Pius XII, w stuletnią rocznicę śmierci, tj. 22. I. 1950 r. ogłosił go błogosławionym.

O. Otto karm. bosy.

pomiędzy ojcem a moją kochaną Marynią...

Od tej drugiej Komunii św. jedynym moim pragnieniem było, już tylko j a k n a j c z ę ś c i e j przyjmować Pana Jezusa".

Czyż nas nie zastanawia owo mocne postanowienie przyszłej świętej, któremu pozostanie wierna do końca życia? Czyż nie pytamy ze zdumieniem, co wpłynęło na owo postanowienie albo raczej, co było powodem owego nienasyconego głodu eucharystycznego u świętej? Najlepszą odpowiedź na te pytania daje nam sama święta: „Piękne stroje, upominki nie zapełniły mi serca, J e z u s tylko mógł je odtąd zadowolić".

Młode nasze dziewczę, wybierające się w drogę życia, potrzebowało światła, by nie zabłądzić. Oto intuicyjnie wyczuła, że właśnie Chrystus Eucharystyczny będzie dla niej ową Światłością, w której blaskach niezawodnie dobije do portu zbawienia. I przy każdej następnej Komunii przypominał jej Chrystus swe słowa: „Jam światłością świata, kto idzie za mną, nie chodzi w ciemnościach" (Jan, 8 12).

Młode dziewczę potrzebowało na drogę życia w i e r n e g o przyjaciela. I oto Chrystus Eucharystyczny, już w pierwszym spotkaniu, ofiaruje jej swą boską przyjaźń. Ale nade wszystko nasza święta potrzebowała wiele siły i mocy do przyszłych zapasów życia.

I właśnie już w pierwszym spotkaniu z Chrystusem wyczuła tajemniczą prawdę owych Chrystusowych słów: „Jam jest **chleb żywy**".

Bez pokarmu, bez codziennego chleba — rozumowała młoda Teresa — traci nasze ciało siły do pracy i do życia. A bez Chleba Żywego, bez Komunii świętej, nasza **dusza** wyczerpuje się, coraz bardziej słabnie w nas życie boże, życie dzieci Bożych. Słabnie aż do zupełnego obumarcia przez grzech śmiertelny.

A więc, by do owego straszliwego nieszczęścia nie dopuścić, postanawia nasza święta: **jak najczęściej przyjmować Pana Jezusa.**

Jam jest chleb żywy...

Najszczytniejsza godność twoja, to godność dziecka Bożego. Wolno ci, co więcej — masz prawo, o ile jesteś w łasce uświęcającej, przemówić do



Boga tym najpiękniejszym imieniem: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie".

Stąd twój pierwszy najświętszy obowiązek strzec twej godnosci dziecka bożego. Strzec czystości niepokalanej bieli szaty godowej **łaski uświęcającej.**

Stąd musisz zmagać się z wszelką pokusą do złego. Niezależnie od tego, czy ona pochodzić będzie od szatana, czy od złego towarzystwa, czy od skażonego skutkami grzechu pierworodnego, ciała.

Aby zawsze z walki z pokusą wyjść zwycięsko, będziesz zawsze potrzebował nie wyczerpującego się złoża energii, siły...

Gdzie owe złoża, skąd zapasy siły będziesz czerpał?

Oto pożywaj **Chleb żywy.**
Komunikuj jak najczęściej.

Będziesz wzrastał w latach.

Ale powinieneś i wzrastać w łasce, u Boga i ludzi. Powinieneś stawać się coraz milszym dzieckiem Bożym.

Pożywaj tego chleba jak najczęściej, a będziesz wzrastał w łasce w nieskończoność. Będziesz coraz pełniej żył życiem dzieci Bożych.

Coraz pełniej udzieli ci się dobroć Chrystusowego Serca i piękno Jego boskiej duszy.

* * *

Jam jest chleb żywy, który z nieba zstąpił: jeśli kto pożywać będzie tego chleba, żyć będzie na wieki.

Żyć będzie na wieki!

Niedawno temu udzielałem Wiatyku świętego — ostatniej Komunii — jedenastoletniej Basi. Nie było nadziei życia. A jak bardzo pragnęła żyć! Każda najmniejsza świeżo z wiosną pączkująca gałązka, każdy rozkwitający kwiat, sprawiały jej niewymowną radość.

Raduję się wiosną — mówiła — raduje mię budząca się do życia gałązka, bo to wszystko mówi mi o naszym obumieraniu, ale — co najważniejsza — i o moim odradzaniu się do nowego piękniejszego wiecznego życia.

Nic słodszego nad ową świadomość u progu ziemskiego żywota.

Nad świadomość, że przed nami otwierają się rozległe przecudne horyzonty nowego szczęśliwego życia. Życia Bożego w rozkwicie, w całej pełni i krasie. Życia Bożego, którego nasienie i zalążki posiadamy, żyjąc w stanie łaski uświęcającej.

Przecudne i jakże pełne szczęścia będzie owo przebudzenie się po groźnej zimie życia doczesnego — do wiecznej wiosny życia Bożego.

To szczęście, o którym wspomina św. Jan, kiedy pisze: „Najmilsi, teraz dziećmi Bożymi jesteśmy, a jeszcze się nie okazało, czym będziemy. Wiemy, że gdy się okaże, podobni mu będziemy, bo go ujrzymy tak, jak jest" (I List, 3, 2).

Jeśli i ty pragniesz żyć na wieki życiem dzieci Bożych i cieszyć się i pożywać rozkosze wiecznej uczty synów Bożych, — posłuchaj co ci mówi Chrystus Eucharystyczny, ilekroć komunikujesz: „**Jam chleb żywy... jeśli kto pożywać będzie tego chleba, żyć będzie na wieki**".

O. Rudolf k. b.

Wniebowzięcie Najśw. Panny Maryi

Jednym z uderzających faktów w życiu wielkich mistrzów pędzla, dłuta czy tonów jest bezskuteczne, lecz ciągle ponawiane usiłowanie, by w dziełach swych przedstawić ideał, stworzyć arcydzieło nie na miarę ludzką, olśniewające, porywające wszystkich, któremu by nikt nic nie mógł zarzucić. Czynią to przynaglani tkwiącym w nich gieniuszem.

Taką z pewnością istotę chciałby geniusz ludzki stworzyć sobie, gdyby mógł, za oblubienicę. Ale i choćby danym mu to było, czyniłby wyrzuty, że brak mu większej możności oddania tego, co czuje, że za mało jest piękna na świecie, by urzeczywistnić ideał oblubienicy dla siebie...

Jeden tylko artysta tego nie powie — Duch św. Choć Jego ideał Oblubienicy nieskończenie przerasta swą doskonałością wszelką, nawet niebosiężną, wzniosłość ducha ludzkiego, posiada On geniusz nieskończenie przewyższający wszelką wielkość i wszelki talent. Nie brak Mu żadnej możności, ani mocy, ani mądrości, ani piękna. Duch Boży, Miłość i Piękno Nieskończone, będący Sercem samego Boga, zrealizował to, o czym człowiek ani marzyć nie może, stworzył sobie Przeczystą Oblubienicę, której piękność, wspaniałość, doskonałość, świętość i wzniosłość olśniewa i porywa wszystko, co żyje — jest nią arcydzieło natury i łaski, najwyższe i najdoskonalsze z dzieł Potęgi, Mądrości i Miłości Bożej, cud cudów Niepokalana Dziewica Maryja.

W Niej jednej zawarł Bóg nie tylko, jak powiada Dante, wszelką doskonałość, która rozsiana jest w stworzeniu (Raj, 33, 21), ale dał Jej oceany innych doskonałości, jakich żadne ze stworzeń nie ma. Maryja jest tak wzniosłą, że jeden tylko Bóg poznaje w pełni i ogarnia Jej doskonałość. Piękność Maryi zachwyca samego Boga. Kocha On Ją więcej niż wszystkie inne, choćby najdoskonalsze, istoty (Suarez, p. 3, t. 2, disp. 18, sect. 3). A zarazem jest przez Nią więcej kochanym niż przez wszystkie stworzenia. Ona jedna jedyna zdolna jest Go kochać, jak On pragnie być kochanym przez całą wieczność.

Boski Oblubieniec kształtował Maryję przez całe Jej życie ziemskie. Obraz Jej nosił w sobie od wieków. Gdy nadeszła chwila, którą uznał za właściwą na zrealizowanie swych Boskich pragnień, sprawia Jej Niepokalane Poczęcie i prowadzi Ją rzeźbiąc w Niej Swą Boską dłonią arcydzieło, jakie zamierzył. Ofiarowanie się Maryi w świątyni, Zwiastowanie, Wcielenie, Narodzenie Chrystusa, Egipt, Nazaret, Golgota, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie Jezusa, Zielone Świątki i ostatnie dwanaście cichych lat zatapiania się Maryi w Bogu aż do Jej Zaśnięcia to tyleż poszczególnych etapów twórczej pracy Boga nad Maryją.

Praca ta i skutki jej były zakryte przed okiem ludzkim. Cała wspaniałość Oblubienicy Ducha św. była wewnątrz. Z chwilą jednak, gdy dokonane zostało ostatnie pociągnięcie: śmierć z tęsknoty ku Bogu, Duch św. uzewnętrznia swe arcydzieło: wskrzesza i przebóstwia najświętsze ciało Maryi i woła Ją do siebie „pójdź do Mnie Oblubienico Moja będziesz ukoronowana". Pójście to było ostatnim aktem ziemskiego istnienia Maryi — zwanym zaś jest przez wiernych Wniebowzięciem.

Fakt ten, według starożytnej tradycji, stwierdzili wkrótce chrześcijanie, widząc puste miejsce, w który złożone zostało ciało N. Panny. Nikt jednak ze śmiertelnych nie widział samego momentu Zmartwychwstania, Uwielbienia i Wniebowzięcia N. Panny, choć z pewnością wyszły naprzeciw swej Królowej wszystkie Duchy Niebieskie i wszyscy Święci. Nie znanym jest również miejsce, gdzie się dokonało. Jedna część tradycji opowiada się za Jerozolimą, druga za Pella w Dekapolu, lub Efezem w Azji Mniejszej. Naszym zdaniem prawdopodobniejszym jest uważanie Jerozolimy za miejsce Wniebowzięcia i ustalenia jego daty na około 42 rok naszej ery. N. Panna miałaby w chwili Zaśnięcia około 60 lat życia.

Nie wiemy też ile czasu upłynęło od Jej Zaśnięcia aż do Zmartwychwstania i Wniebowzięcia. Przypuszczenia uczynione od IV wieku do dziś podają okres od jednego momentu do 6 miesięcy. Pewnym jest tylko, że niepokalane ciało Maryi zachowanym było w całej świeżości i pięknie.

Polska legenda mówi o obejściu Najśw. Panny z Jezusem całej ziemi i pokazaniu Jej przez Syna miejsc, na których w ciągu wieków będzie szczególnie czczona.

Z pewnością współcześni N. Pannie wierni wiedzieli, gdzie zasnęła i skąd do nieba wziętą została. Niestety nie przekazali tego na piśmie. W braku bezwzględnie wyraźnego świadectwa współczesnych N. Pannie czy nie ma przypadkiem jakiejś aluzji wprost w Nowym Testamencie do Wniebowzięcia Oblubienicy Ducha św.? Nikt nie jest tu tak odpowiedni do poradzenia się, jak św. Jan, który żył do pierwszych lat panowania cesarza Trajana (98—117) i który na pewno pozostawał przy Maryi aż do ostatnich Jej chwil. I rzeczywiście w 12 rozdz. Apokalipsy odnajdujemy ukrytą aluzję do uwielbionego już stanu Maryi pod obrazem walki Niewiasty i smoka, będącym jakby natchnionym komentarzem do słów Stwórcy w raju wyrzeczonych do węża: „położę nieprzyjaźń między tobą a Niewiastą“. (Rozdz. 3, 15).

Wielu Ojców Kościoła i egzegetów widzą w rozdz. 12 Apokalipsy Maryję. — Aluzją do Jej Wniebowzięcia jest sam początek. „A oto znak wielki ukazał się na niebie: Niewiasta odziana w słońce, a księżyc pod Jej stopami, a na głowie Jej korona z gwiazd dwunastu“. — Mamy tu obraz Królowej, Królowej nieba i ziemi tj. Maryi w blaskach chwały. Św. Jan widzi Ją na niebie, a nawet jak powiada tekst grecki w samym niebie. Podobnie jak Oblubieniec, co według Ps. 103 odziewa się światłem jako płaszczem, przyodziana jest słońcem. Jaśnieje już blaskiem zapowiedzianym przez Chrystusa: „wtedy sprawiedliwi zajaśnieją jako słońce w królestwie ich Ojca (Mat. 13, 43). Przypomina się tu też Oblubienica z Pieśni nad Pieśniami: „któraż to jest, która powstaje jako jutrzenka, piękna jako księżyc, czysta jako słońce?“ (Pieśń 8, 10). Przepych królewski, jaki otacza Niewiastę wskazuje jasno na powszechne władztwo Maryi. Wszechświat cały przedstawiony jest przez słońce i księżyc, ludzkość przez 12 gwiazd — symbol 12 Apostołów, przedstawiających Kościół Katolicki. (Por. Apok. 21, 14). Chodzi tu tylko o Maryję. Mówi o tym wprost w. 17. Smok wściekły, że mu się z zastawionych sideł wyrwała „poszedł walczyć przeciw tym, którzy pozostali z Jej nasienia, którzy przestrzegają przykazań Bożych i mają świadectwo Jezusowe“. Wyraźnie odróżniona jest tu Maryja od Kościoła Wojującego. Dowodzi tego i w. 14 mówiąc, iż „jest daleko od paszczy smoka, niedosięgalna na jego ataki“, czego o Kościele nie można powiedzieć, gdyż bez przerwy musi walczyć z wężem.

Takie rozumienie 12 rozdz. Apokalipsy uznał za swoje i Kościół, wcielając go do swych publicznych modłów (Officium na Niepok. Poczęcie, Matki Bożej z Lourdes, Cud. Medalik). Potwierdził je oficjalnie pap. Pius X w Enc. Ad diem illum (2. II. 1904) a zwłaszcza obecnie 1. XI. 1950 r. Ojciec św. Pius XII w bulli ogłaszającej Dogmat Wniebowzięcia[1]).

Wspomnieliśmy już, że współcześni chrześcijanie nie przekazali nam na piśmie dokładnego opowiadania o Zaśnięciu Oblubienicy Ducha św. Stało się to nie dlatego, by o cudownym Jej Wniebowzięciu nie wiedziano, ale dlatego, że ówczesna gmina chrześcijańska w Palestynie była ciągle niepokojoną i doświadczaną prześladowaniami. Potem wybuchła wojna żydowska z Rzymianami (66 — 70). Jak podaje Euzebiusz z Cezarei i św. Epifaniusz, chrześcijanie z Jerozolimy, pomni na proroctwa Chrystusa, schronili się poza Jordan do miasteczka Pelli w prowincji Dekapolu.

Gdy wrócili do Jerozolimy stolica Izraela była bardziej w gruzach niż Warszawa po powstaniu 1944 r. Zaczęto ją coprawda odbudowywać, ale znów w 135

[1]).Jak udowadnia uczony katolicki E. B. Allo w rozdziale tym mamy ponadto wskazane czasy ostateczne.

roku w czasie rewolucji Bar Kochby na rozkaz ces. Hadriana zburzono ją doszczętnie. Na miejscu dawnego miasta wznieśli w szybkim tempie Rzymianie pogańskie na wskroś miasto Aelia Capitolina. Wstęp do nowego miasta i w jego okolice był żydom jak najsurowiej wzbroniony. Przejścia te, jakim podlegali chrześcijanie jerozolimscy przyczyniły się do nieprzekazania tego na piśmie, co wiedzieli o Wniebowzięciu. — Niemniej sam fakt przechował się w ustnej tradycji. Okruchy jej mamy w apokryfach „Księga Zaśnięcia Maryi" napisanym w II wieku przez Leuciusza Enkratytę po grecku i „Księga Przejścia Maryi" przypisywanym św. Melitonowi z Sardes a powstałym prawdopodobnie w IV w. Apokryfy te nie służyły do wzbudzenia wiary we Wniebowzięcie, ale jej uprzednie istnienie już stwierdzają i na nim się opierają. Mają więc jako źródła historyczne też pewną wartość.

Ponadto wzmianki o śmierci i Wniebowzięciu N. Panny mamy u Orygenesa, św. Efrema, św. Hieronima, św. Augustyna, św. Paulina z Noli, św. Grzegorza Nysseńskiego, Seweryna z Gabali, św. Efrema i u wielu syryjskich i etiopskich pisarzy z IV i V wieku.

Pierwszym, który obszernie omówił Wniebowzięcie był kapłan jerozolimski Tymoteusz, żyjący pod koniec IV wieku. Świadczy on o powszechnej wierze we Wniebowzięcie wśród wiernych w Palestynie. Tak samo Antonin z Plaisance w opisie Pielgrzymki do Ziemi św. odbytej przed 570 r. powiada: „w zboczu Getsemani znajduje się Bazylika N. Panny, która była, jak mówią, Jej mieszkaniem, z którego wzięta została do nieba z ciałem". Identycznie twierdzi inny kapłan palestyński Pseudo Prochorus (ok. 500 r.) i Biskup Jerozolimski Juwenal w liście do ces. Pulcherii z 451 r. — Prawdopodobnie od końca III w. Kościół w Palestynie obchodził corocznie pamiątkę odejścia Maryi do nieba pod nazwą „Theotoku mneme" (Pamiątka Bogarodzicy). Świadczy o tym m. in. mowa Teodora ku czci św. Teodozego. Uroczystość tę od połowy w. VI nazywano Zaśnięciem. Nie odrzucili jej heretycy monofizyci i nestorianie uważając je za święto od Apostołów pochodzące. Dali tym samym dowód jego starożytności.

Na Zachodzie obchodził je w Rzymie pap. Damazy I (366—384). Francja znała je od IV w., jak widać z pism św. Grzegorza z Tours (zm. 596). Tylko termin obchodu był różny. Zachód święcił je 18 stycznia, wschód 15 sierpnia, lub 13 i 16 sierpnia (Kopci i Syria). Ostatecznie ustalił termin ces. Maurycy (586-602), jak podaje grecki kronikarz Nicefor. Od końca w. VI jest już obchodzone w całym Kościele. Widać z tego dawność uroczystości Wniebowzięcia.

Od końca w. V pojawia się wiele pism (zwłaszcza w jęz. syryjskim i koptyjskim (o Wniebowzięciu N. M. P.) np. Księgi Cudów). Są to na ogół apokryficzne dzieła, przeładowane fantastycznymi pomysłami, podobnie jak trochę późniejsze utwory arabskie. Do tej powodzi pism o Bogarodzicy przyczynił się bez wątpienia Sobór Efezki z 430 r.

Pomijamy dalsze rozszerzanie się kultu Wniebowziętej i nieprzeliczone świadectwa oraz racje, jakie na poparcie wiary w tę prawdę głosili po całym świecie, aż do naszych dni Ojcowie i Doktorzy Kościoła, Święci, teologowie, pisarze, kaznodzieje, królowie, malarze, rzeźbiarze, architekci i tłumy wiernych.

W naszej Ojczyźnie już w XII wieku mamy kościoły Wniebowzięcia N. M. P. Wśród nich znajdował się i pierwotny kościółek, wzniesiony, jak podaje Długosz, z bierwion modrzewiowych, w miejscu, gdzie jest dziś Jasna Góra, Stolica Maryi w Polsce. W pierwszej połowie XV w. na jego miejscu zbudowana została (gotycka zrazu, lecz przebudowana po 1690 r.) wspaniała Bazylika Jasnogórska pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. P., ze statuą Wniebowziętej dłuta mistrza Buzziniego. Święto Wniebowzięcia od przeszło pół tysiąca lat jest najuroczystszym na Jasnej Górze i było do końca XIX w. równoznaczne ze świętem M. B. Częstochowskiej. Dopiero Pius X wyodrębnił to ostatnie i przesunął na 26 sierpnia.

Drugie miejsce w Polsce, na którym szczególnie uroczyście obchodzono Wniebowzięcie to Kalwaria Zebrzydowska pod



Stachiewicz.

WNIEBOWZIĘTA

Krakowem. Od 1637 r. urządzano tam 13 i 15 sierpnia misterium Zaśnięcia, Pogrzebu i Wniebowzięcia N. Panny.

Z innych krajów żywiołowa wprost cześć dla Wniebowziętej tkwiła w Hiszpanii, Portugalii, na Bliskim Wschodzie, w Abisynii, w Krajach Ameryki Południowej, na Filipinach i w Kalifornii. Wiele miast, miasteczek, osiedli nosi tam miano Wniebowzięcia, nie mówiąc już o imionach chrzestnych. We Francji Ludwik XIII oddając kraj Maryi ogłosił dzień 15 sierpnia jako święto narodowe.

Kult dla Wniebowziętej począł się wzmagać w połowie XIX wieku. Skłoniło to wielu Kardynałów i Biskupów do proszenia Stolicę Apostolską, by tę prawdę ogłosiła jako Dogmat. Pierwszym, który taką prośbę wniósł był Czcig. O. Cezary M. Shguanin serwita w XVIII w. W 1849 r. ponawia prośbę Kard. Sterx Prymas Belgii i Bp. Sanchez z Hiszpanii. W 1863 hiszpańska królowa Izabella II, nakłoniona przez spowiednika swego, św. Antoniego M. Claret (w r. 1950 kanonizowanego), prosiła Piusa IX o ogłoszenie Dogmatu Wniebowzięcia. Na Soborze Watykańskim 187 Biskupów, poruszonych zapałem benedyktyna O. Alojzego Vaccari, domagało się ogłoszenia Dogmatu Wniebowzięcia. Sprawy nie zdołano załatwić z powodu dyskusji nad nieomylnością Papieża i zaboru Rzymu w 1870 r. Ruch jednak za ogłoszeniem Dogmatu wzrastał w szybkim tempie, przybierając po roku 1900 formy prawdziwego plebiscytu na całym świecie. — W latach 1870—1940 prosiło o dogmatyzację 1332 Biskupów, 26 Opatów, 261 Wikariuszy Apostolskich, 61 Generałów Zakonów i Zgromadzeń, 251 Wikariuszów Kapitulnych i Biskupów Sufraganów, 67 Prefektów, 8 Rektorów Okręgów misyjnych, 39 uniwersytetów lub wydziałów teologicznych, 2 Synody Plenarne, 5 Synodów Prowincjonalnych, 8 Synodów Diecezjalnych, 36 Zjazdów Episkopatu i przeszło 8.000.000 wiernych. Razem było próśb 3.019 z 8.086.396 podpisami. (G. Hentrich i R. G. de Moos. Petitiones... Roma 1942). Cyfry te wzrosły szalenie w latach 1940—50. Skłoniło to Ojca św. Piusa XII do zajęcia się dogmatyzacją Wniebowzięcia. 1 maja 1946 r. skierował zapytanie do wszystkich Biskupów świata w liście „Deiparae Virginis Mariae" (Bogarodzicy Dziewicy Maryi) co sądzą o ujęciu tej prawdy w Dogmat. Prawie jednomyślnie uznali to za bardzo pożądane. Dlatego też Ojciec św. postanowił po rozważeniu wszystkiego na modlitwie i po wezwaniu światła Ducha św. ogłosić za Dogmat Wniebowzięcie Jego Oblubienicy w roku jubileuszowym 1950 w uroczystość Wszystkich Świętych.

Na zapowiedziane uroczystości przybyło 36 kardynałów, 7 Patriarchów, 156 Arcybiskupów, 393 Biskupów, 25 Opatów, przeszło 20.000 kapłanów i zakonników oraz około 400.000 wiernych. Jako bezpośrednie przygotowanie odbył się (w dniach 23—30 październ.) VII Międzynarodowy Kongres Maryjny, na którym omówiono i zestawiono dane o roli, jaką we współczesnym świecie odgrywa Niepokalana Dziewica.

Dnia I. XI. 1950 r. o godz. 8.30 rano w wejściu do Bazyliki św. Piotra Ojciec św. otoczony wspaniałym orszakiem purpuratów z całego świata, w obecności specjalnych misji różnych krajów katolickich i całego Korpusu Dyplomatycznego, ogłosił Bullą „Munificentissimus Deus"[1], że **„Niepokalana Bogarodzica zawsze Dziewica Maryja, po dokonaniu ziemskiego żywota wzięta została z ciałem i duszą do niebieskiej chwały".**

Z chwilą, gdy srebrny mikrofon i liczne megafony, dar specjalny włoskiej Akcji Katolickiej rozniosły słowa Ojca św. uderzały radośnie wszystkie dzwony 1000 kościołów Rzymu i biły przez pół godziny. Wieczorem całe Wieczne Miasto zalane było istnym potopem światła. Wybito ponadto prześliczny medal pamiątkowy, dzieło rzeźbiarza A. Mistruzzi. Z jednej strony jest Maryja unoszona w promieniach spływających z nieba przez aniołów i napis „Maria Dei Parens

[1]) Najszczodrobliwszy Bóg.

in coelum anima et corpore evecta pronuntiatur Cal. Nov. MCML", z drugiej widnieje popiersie Ojca św. w stule z podobizną Wniebowziętej.

Na całym świecie odbyły się z racji ogłoszenia Dogmatu Wniebowzięcia wspaniałe uroczystości i obchody. — W Polsce na Jasnej Górze było odprawione wieczorem we wspaniale iluminowanej Bazylice uroczyste, pontyfikalne Triduum (29. 30. 31 X.) celebrowane przez J. E. Ks. Bp. St. Czajkę i J. E. Ks. Bp. M. Jankowskiego, z kazaniami wybitnego kaznodziei O. Pawła Kosiaka paulina. Na studziesięcio metrowej wieży jasnogórskiej błyszczał wspaniały Krzyż świetlny, pod nim jaśniejąca korona i olbrzymi z elektrycznych lamp zbudowany monogram Maryja.

Przez ogłoszenie Dogmatu Wniebowzięcia, Dogmaty Niepokalanego Poczęcia, Macierzyństwa i Nienaruszonego Dziewictwa otrzymały nowe potwierdzenie, i jakby dokończenie.

Dogmat Wniebowzięcia Oblubienicy Ducha św. nie jest jedynie snopem nadprzyrodzonego światła dla naszego umysłu, ani nie ma wyłącznie charakteru spekulatywnego, lecz pozostaje w ścisłej i to na nasze czasy bardzo aktualnej łączności z życiem praktycznym. Przypomina tryumf, jaki odniesie każdy wierny, oddający się Bogu na wzór Maryi, nad śmiercią. Podkreśla godność ciała ludzkiego, tak poniewieranego przez grzechy nieczyste i brutalne ostatnie lata wojny i obozów koncentracyjnych, a będącego „świątynią Ducha św." Przywodzi wreszcie przed oczy nasze w niepojętym blasku chwały Postać Tej, ku której dziś, jak nigdy dotąd w historii świata, wznoszą się ze wszystkich kontynentów błagalne prośby, by się nad dziećmi swymi zmiłowała. By Ona „wstępująca z puszczy tego wygnania, wsparta na Oblubieńcu Swym" (Pieśń 8, 5) wspomniała na nas „teraz i w godzinę śmierci naszej".

O. M. Dominik Newman, Paulin.

PANI JADWIGA, VI

OBUDZENIE SIĘ WOLI

— Mietek, chodź tu natychmiast!

Pięcioletni chłopaczek ani się nie popatrzył w stronę wołającej matki. — Stał na środku ulicy i ani drgnął.

— Mietek! Słyszysz!! Auto jedzie!

W rzeczywistości zbliżało się auto, z daleka podobne do kropki, która rosła z każdą sekundą i zmieniała się w kwadrat, coraz to większy.

Matka zostawiła wózek z małym dzieckiem na tretuarze i pobiegła na ulicę. Chwyciła synka za kołnierz i w ostatniej chwili umknęła z nim spod kół samochodu. Zgrzyt hamowanego auta.

— Chwała Bogu, obeszło się bez wypadku — swierdził spocony szofer, z głębokim oddechem ulgi. Niech pani tak ze dwadzieścia razów wymierzy synkowi po spodenkach.

Matka nie czekała na radę, tylko biła swą „pociechę" nie tylko po spodniach, ale gdzie się dało. Za dużo jej tego było. Alarmujący krzyk dziecka zagłuszył warkot odjeżdżającego samochodu. Ludzie zaczęli niepokoić się o los bitego bez upamiętania chłopca. W tej chwili podniesioną rękę do nowego uderzenia, ktoś chwycił w powietrzu.

— Marysiu, uspokój się!

Wzrok matki spotkał się z serdecznym spojrzeniem pani Jadwigi. W jednej chwili złość rozpłynęła się w łzach.

— Majowy deszczyk z błękitnego nieba — szczerze śmiała się Jadwiga.

— To ci dobrze zrobi. Ale opanuj się, bo ludzie się oglądają. Chodźmy dalej.

Mietek cicho popłakiwał. Skręcili na planty. Za chwilę chłopaczek biegł naprzód i coś sobie śpiewał. Zapomniał o wszystkim. Matka jednak nie mogła

zapomnieć. Popychała wózek przed sobą z najmłodszą córeczką, twarz jednak miała bardzo smutną i zatroskaną.

— Niezastąpiona pani Jadwigo! Niech pani mi coś poradzi! Jak mam postępować z moim synem?

— Ależ Marysiu, nic nadzwyczajnego się nie stało.

— Jak to, nic nadzwyczajnego? A jakbym nie zdążyła, to co by było?...

— Powinnaś była wcześniej pobiec.

— Kiedy go wołałam.

— To nie wystarczy.

— Wobec tego, muszę uważać na każdy krok syna? Zresztą, nie wiem co się z nim stało. Jeszcze tak niedawno, było to dziecko spokojne. Teraz nie mogę je poznać. Staje się nieposłuszne, kapryśne.

— Zwyczajna rzecz.

— Co przez to mam rozumieć?

— Po prostu u twojego dziecka budzi się wola. Zwyczajny etap w rozwoju psychicznym człowieka. Rozum budzi się do życia, a za rozumem wola. Dziecko poznaje, że może chcieć, że może być nieposłuszne, cieszy się tym i dlatego zachodzą takie wypadki, jak dzisiejszy.

— Jak wobec takich rzeczy, czy wypadków, mam się zachować?

— Przede wszystkim musisz wiedzieć, że okres ten w życiu twego dziecka jest przejściowy. Trwa on zwykle kilka miesięcy, później mija. Okres ten jednak jest bardzo ważny w życiu człowieka, i lekceważyć go nie wolno. Po drugie musisz wiedzieć, że przez bicie, przemoc, nie zdobędziesz posłuchu u dziecka. Kto tak postępuje, sam się skazuje na niepowodzenie. W dziecku bowiem przez takie postępowanie budzi się jeszcze większy upór.

— To mam pozwolić dziecku na wszystko, co mu się podoba czynić?

— Też nie, ale jest trzeci sposób postępowania. Trzeba dziecko **przekonać**, wytłumaczyć mu. Wielki błąd popełnia większość rodziców, traktując podświadomie dziecko jak zwierzątko. **Tresują**, ale **nie wychowują.** Jeżeli dziecko chcemy wychować na pełnowartościowego człowieka, to trzeba mu pokazać co ma robić i tłumaczyć dlaczego to ma zrobić i w jaki sposób.

Przy dziecku musimy się **sami wychowywać.** Nie wolno nam tracić cierpliwości, złościć się. Kiedy krzyczymy, złościmy się, tracimy powagę, autorytet w oczach dziecka.

— A co miałam uczynić w dzisiejszym wypadku?

— Dobrze zrobiłaś, żeś posłużyła się siłą, w usunięciu dziecka spod kół auta. Źle jednak uczyniłaś, żeś go biła w złości. Wolno nam dziecko karać i czasem potrzeba, ale przy tym nie wolno nam się złościć. Kara do tego powinna łączyć się z przewinieniem. Zamiast bić Mietka w podnieceniu, trzeba było zaczekać na później, choćby nawet do jutra. Mietek jutro będzie chciał wyjść też na spacer. Ty mu nie pozwolisz, dopóki nie przeprosi cię za nieposłuszeństwo i nie przyrzeknie poprawy. Odmówienie dziecku słodyczy, surowe spojrzenie, czasem i uderzenie tam gdzie potrzeba i bez złości — oto kary, jakie są dopuszczalne w wychowaniu. — Są matki, które obiecują dzieciom czy to cukierki, czy pieniądze na obwarzanki, jeśli będą grzeczne. W ten sposób postępując popełniają błąd. Dziecko w takim wypadku uważa, że łaskę robi matce, że jest grzeczne. Co gorzej, dziecko takie staje się chytre na pieniądze, oducza się je bezinteresowności. Muszę już ciebie Marysiu pożegnać, bo skręcam na Plac Szczepański.

— Bardzo dziękuję pani za radę. — Mieciu, ukłoń się pani ładnie. Miecio, który dawno zapomniał o łzach i smutku, dziarsko się ukłonił.

Bożenna Mirska.

DZIECKO

„I przynoszono Mu dziatki, aby się ich dotknął, ale uczniowie gromili tych, którzy je przynosili. Co ujrzawszy Jezus, oburzył się i rzekł: Dopuście dziatkom przychodzić do mnie i nie wzbraniajcie im, albowiem takich jest Królestwo Boże. Zaprawdę powiadam wam: Ktokolwiek nie przyjmie Królestwa Bożego jako dziecię, nie wnijdzie do niego. A tuląc je i kładł na nie swe ręce, błogosławił im (*Mat.*, *X*, 10—16).

„Jeśli się nie staniecie jako dzieci, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego. Ktokolwiek się przeto uniży jako to dziecię, ten jest większy w Królestwie niebieskim. A ktokolwiek by przyjął jedno takie dziecię w imię moje, mnie przyjmuje. Kto by zaś zgorszył jedno z tych maleńkich, którzy we mnie wierzą, lepiej by mu było, aby mu zawieszono kamień młyński u szyi i zatopiono w głębinie morskiej" (*Mat.*, *XVIII*, 1—6).

„Baczcie abyście nie wzgardzili którymś z tych maluczkich. Powiadam wam bowiem, że aniołowie ich w niebiesiech zawsze widzą oblicze Ojca mego, który jest w niebiesiech" (10). *Nie jest wolą Ojca waszego, który jest w niebiesiech, aby miał zginąć jeden z tych maluczkich"* (14).

Jest to jedna z najrzewniejszych scen ewangelicznych, która tak przemawia do serca i tak odsłania głębię Serca Jezusowego. Dobroć Zbawiciela tulącego dziatwę przedstawi się nam tym plastyczniej, gdy sobie uprzytomnimy, że dzieci Wschodu są zazwyczaj zaniedbane, zakurzone, brudne, bo o wodę trudno, często owrzodzone i z oczami ropiejącymi. Pan Jezus na to nie zważa, poprzez tę mało pociągającą powierzchowność dosięga duszy dziecka. Z jednej strony gromi uczniów, że wzbraniają dziatwie przyjść do Niego, z drugiej strony daje nam na wzór proste, pokorne dziecię. Było to tym dziwniejsze, że w starożytności nikt nie dbał o dzieci, rodzice zabijali niedołężne i chore, a ojciec często kazywał się pozbyć dziewczynki.

Zachwycony stanowiskiem Zbawiciela, Arcybiskup Teodorowicz tak pisze w jednej swej medytacji: „Dusza dziecka! kto o niej myśli, kto się nad nią skłania? Na ziemi matka jest symbolem tej miłości, która szuka dobra dziecka. Ale oto Jezus uchyla nam kurtynę z zaświata i raptem widzimy, jak cały kłębek najżywszych interesów skupia się dokoła kolebki dziecka i to właśnie interesów z zaświata. Jakich i czyich? I oto przedstawia nam Jezus kolejno wejrzenie Ojca w niebiesiech w to coś tak małego i znikomego dla ziemi, jakim jest dziecko, wprowadza Jezus na scenę aniołów wpatrzonych w wejrzenie Ojca, a za Nim swoje wejrzenie wpatrzone w stronę dziecka... To, co najwyższe

spotyka się w uścisku miłości z tym, co najniższe" (z medytacji niewydanych).

Ustęp ten z Ewangelii kilkakrotnie spotykamy w Mszale np. na uroczystość św. Teresy od Dzieciątka Jezus, tej małej dzieciny, w dzień św. Jana Bosko, przyjaciela dzieci, św. Hieronima Emiliani 20 lipca, w święta Michała Archanioła i Aniołów Stróżów, „albowiem aniołowie ich zawsze widzą oblicze Ojca mego". W scenie tej mamy cały program Chrystusa: dopuśćcie je do mnie, nie gorszcie ich. Gdy to rozwiniemy, to zrozumiemy, że Jezus prosi, by zbytnim rygoryzmem nie opóźniać I Komunii Świętej, nie straszyć Bogiem i karami Jego, nie dawać fałszywego obrazu Jego sprawiedliwości i miłosierdzia, nie zabijać prawdziwej pobożności ciasną formalistyką i faryzejską obłudą, nie gorszyć moralnie, nie paczyć sumienia.

Drugi nakaz pozytywny każe dzieci dopuszczać do Jezusa, wcześnie uczyć modlitwy, uczestniczenia we Mszy świętej. Niech Jezus stanie się wcześnie ideałem dziecka, a stosunek jego do Boga prosty jak dusza dziecka. „One we mnie wierzą" — mówi Jezus. Rzeczywiście ktokolwiek zajmuje się dziećmi, ten wie, jak łatwo i chętnie dziecko lgnie do Chrystusa Pana, jak chciwie słucha tego, co o Nim mówimy. Czyż nie nasza wina, że to z latami maleje i zanika?

Trzeci punkt tej cudownej nauki o dziecku to słowa Jezusowe: „Jeśli nie staniecie się jako dziatki, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego". Zbawiciel wyraźnie wskazuje na duszę dziecka jako na coś, do czego należy się upodobnić. Przyjrzyjmy się więc tej duszy.

Przede wszystkim dziecko to nie lalka, nie zabawka, nie zwierzątko, któremu wystarcza zdrowy pokarm, ale to człowiek z całą swoistą naturą skażoną przez winę Adama, ale odrodzoną przez Chrystusa. Nie posiada jeszcze równowagi, jest zbyt impulsywne i żyje w świecie swej wyobraźni. Dziecko to człowiek w fazie rozwoju potrzebujący pomocy, ogląda się za nią i ceni ją sobie. Pragnie rosnąć, stawać się coraz mądrzejszym, szuka prawdy, lubi pokonywać trudności i przeszkody. Jest aktywne, pełne zapału, ciekawe, pyta, naśladuje. To wszystko jest wielką pomocą dla wychowawcy, który musi czuwać, by przez błędne postępowanie nie zabić tych przyrodzonych właściwości. Dziecko jest realistą, lubi operować konkretami, nie jest obojętne na dobro i piękno ale nie potrafi nieraz pójść za tym, ulega z łatwością wpływom przeciwnym, brak mu wytrwałości w dążeniu do dobrego, do ideału. Wola początkowo jest słaba, trzeba ją wzmocnić, a rozum nauczyć logicznego myślenia. Dziecko bowiem najczęściej zbyt szybko uogólnia i wnioskuje przez podobieństwo. Dlatego wychowanie jest konieczne.

Z powiedzenia Pana Jezusa widzimy, że cenił żywą bezkompromisową wiarę dzieci, ich prostotę i szczerość, życzliwe i ufne odnoszenie się do wszystkich, zwłaszcza do tych, co mu okażą serce. Na pewno

zalecał Chrystus Pan ich pogodne patrzenie na życie, ich niewinność, gdyż mimo sporadycznych upadków, zło jeszcze nie zdeprawowało ich duszy. Zabrania gorszyć, bo zna ich słabość, chwiejność, lekkomyślność, żywiołową zmysłowość, uczucia zmienne i nieustalone i egocentryzm, nieraz bardzo silny, który każe wszystkim obracać się koło siebie. Często występuje u dzieci upór, pochodzący z głupoty, despotyzm z silnie rozwiniętej woli, nieposłuszeństwo, owoc samowoli i niechęci w podporządkowaniu się innym, kłótliwość i chęć dogadzania sobie, postawienia na swoim.

Dziecko nie umie się jeszcze posługiwać zdolnościami, kierując je do celu życia, nie lubi racji rozumowych, kieruje się uczuciami. Uczy się o ile to interesuje, inaczej nie uważa. Oto króciutko skreślona sylwetka dziecka. W okresie dojrzewania zachodzą zasadnicze zmiany tak fizjologiczne jak duchowe, wzrasta poczucie osobowości, godności, honoru, a z tym związana zarozumiałość, niezależność, nieraz bunt. — Rozwija się idealizm i pragnienie rzeczy wielkich. O tym wszystkim szczegóły podaje psychologia rozwojowa, którą rodzice i wychowawcy winni przestudiować, pamiętając, że musimy dziecko obserwować, by stosować się do tego, co w nim indywidualne, stosować się do jego zdolności, a przede wszystkim do tej myśli Bożej, z jaką Bóg dane dziecko powołał do życia, pomagać w jej zrealizowaniu. Spełniając nakaz Chrystusa Pana otoczymy dziecko miłością i atmosferą zaufania, a wtedy otworzy się szczerze i pozwoli sobą kierować.

Pamiętając, że aniołowie ich widzą Ojca niebieskiego, winniśmy dziecko szanować. Szanujmy jego indywidualność, by jej nie łamać despotycznymi nakazami, ale na jej tle wyrabiać osobowość, jestestwo społeczne, które swój interes potrafi podporządkować ogółowi. Szanujmy w dziecku przyszłego obywatela państwa, członka żywego Kościoła, naszą własną nadzieję. Dziecko jest szczęściem rodziny, dowodem błogosławieństwa Bożego, które powierza rodzicom tę duszę tak przez siebie ukochaną. W dziecku odmładza się rodzina i ród, ono ześrodkowuje na sobie miłość rodziców i ich wysiłki. Ono łączy poważnionych małżonków i zmusza do rychłego pojednania. Uśmiech dziecka, jego radość życia jest promieniem świetlanym w rodzinie w czasach katastrof i nieszczęść. Dziecko zmusza do refleksji i opanowania wychowawców, ono potrafi być apostołem i rozgrzać letnie serca.

Szanujmy w dziecku obraz Boży i Chrystusa żyjącego w niewinnym sercu, wszak Jego to są słowa: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili". „A kto by przyjął jedno dziecię w imię moje, mnie przyjmuje" (Mat., XVIII, 5). Gdy nam trudna praca, gdy dzieci są niewdzięczne, nieposłuszne, pocieszajmy się tą myślą, że pracujemy dla Jezusa w ich duszach i Jego tam kochamy.

S. Barbara Żulińska

POSTULAT RADOŚCI

Skoro dzieło Odkupienia obejmuje Mękę Chrystusa i Jego zmartwychwstanie a w chrzcie świętym mieści się pogrzebanie z Chrystusem i zmartwychwstanie, to dzieło życia naszego nie może polegać jedynie na umartwieniu. Musi się w życiu naszym znaleźć uwielbienie, więc też i radość. Jest ona w Nowym Testamencie przykazaniem i cnotą. Kazać się komuś radować na tej ziemi to już wielka doza optymizmu. Filozofia starożytna dochodziła zwyczajnie, choć różnymi drogami, do pesymizmu, nawet i ci co upatrywali sens życia w używaniu.

Ziemia nie jest z pewnością najgościnniejszym miejscem. Gotuje ona zawody i rozczarowania. Trudnym się wydaje ten postulat radości w ramach Ewangelii. To nie rada tylko ewangeliczna, zastrzeżona tylko dla garstki wybrańców ani wymaganie podrzędne. Św. Paweł pisze do wiernych: „Radujcie się, i powtórnie mówię wam radujcie się" (Filip., IV, n.) — „z resztą radujcie się" (Filip., III, 1). Św. Paweł w tych słowach upatruje skondensowanie swej doktryny. „Królestwo Boże nie wyczerpuje się w ascetycznej praktyce, ale polega na radości i pokoju w Duchu Świętym". Więc ta doktryna radości ma ważne miejsce. — A zdawałoby się, że tchnienie Ewangelii temu przeczy.

Są ludzie, którzy mówią, że Chrystus nam zabił radość. W Ewangelii mamy wezwanie do pokuty. W kazaniu na górze powie Jezus błogosławieństwo dla tych co płaczą, i mówi Jezus o wąskiej i stromej ścieżce zbawienia. Działalność Zbawcy jest jednym niepowodzeniem. Ucieka Jezus z Judei do Galilei. W Dekapolu i Perei pójdą za Nim faryzeusze, by trud Jego udaremnić. Wreszcie znajdą wśród dwunastu narzędzie podatne, który będzie dzielił ich ambicje państwowe, aż wreszcie zemści się za zawód. Wobec tego niepowodzenia chmura przysłoniła czoło Zbawiciela i skarga wyrywa się z ust Jego: „A Syn człowieczy, gdy przyjdzie na ziemię, czyż znajdzie wiarę"? (Łuk., XIII, 8). — Wreszcie Męka i skazanie. I gdzież w tej atmosferze ma wykwitnąć radość?

A jednak Paweł święty echem się stał tylko swego Mistrza, który przy ostatniej wieczerzy rzekł do uczniów: „A to wam powiedziałem, aby radość wasza była pełna" (Jan., XV, 11). Słowa Boże nie są dziennikarskim komunikatem, który się przebiega oczyma i który ulatuje. Ale słowo Pańskie ma moc obosiecznego miecza sięgającego do wnętrza duszy, ono jest zawsze twórcze. Gdyby radości nie było przed Chrystusem, to z chwilą, gdy o niej mówił Jezus do uczniów, zstąpiłaby ona na ziemię. Oczywiście nie ta radość hałaśliwa z pustką w sercu, z poczuciem nienasycenia. Radość Boża to radość Chrystusa, o której Chesterton powiada z uszanowaniem, że ewangeliści nie wspominają, że się

Chrystus uśmiechał, bo może ta radość byłaby dla nas za wielka do zniesienia.

Od pierwszej chwili oglądał Jezus ciągle Boga, co było też pewną miarą cierpienia Jezusa, bo czuł brzemię grzechu w widzeniu Boga — W widzeniu Boga był Jezus nieskończenie szczęśliwy. Był nim powalony w Ogrojcu, i na krzyżu cytując słowa psalmu: „Boże mój, czemuś mię opuścił"! (Mat., XXVII, 46).

I w naszym życiu może być tajemnicze współistnienie radości z cierpieniem. Nie można tego psychologicznie wytłumaczyć władzami niższymi i wyższymi, bo tych wyżyn trzeba szukać poza naszym doświadczeniem. Cierpienie Chrystusa było bólem nad grzechem. I my tego doznawać możemy: „miłość nie jest znana i kochana"! a jednocześnie możemy być szczęśliwi. To można tylko tym wytłumaczyć, że nasze życie jest dalszym ciągiem życia Chrystusa. A Jezus odsłonił nam swe życie wewnętrzne w przypowieści o beztroskim siewcy. On był spokojny wobec niepowodzeń, wiedział, że siew Jego zatriumfuje. Na szereg obrazów smutnych można odpowiedzieć innymi pełnymi radości. Prawda, że mówi Jezus: czyńcie pokutę ale chodzi tu o odmienienie umysłów. Mówi Jezus o cierpieniu i błogosławi tym, którzy płaczą, ale nacisk kładzie Jezus na szczęście tych, którzy płaczą, szczęście nie dla nagrody ale dla wewnętrznego przeżycia. Mówił Jezus o wąskiej drodze i o małej liczbie tych, którzy nią pójdą ale różne przypowieści mówią o tym, że większość dobrze użyje swoich talentów.

Bóg przegrać nie może. Dobro zwycięży, a ono jest intensywniejsze i więcej warte. Dobro wymaga wysiłku, zło dozwala tylko spadanie z góry. Gdy Krzyż rzuca cień na Ewangelię, opromienia ją blask zmartwychwstania. Nuta radości w niej pobrzmiewa. Kościół podaje ją dalej, modli się o radość i wesele, śpiewa „Gloria" i „Alleluja".

Trzeba pojąć radość jako obowiązek, bo radość jest dla wzrostu duszy normalną atmosferą, w niej dusza spieszy po drogach Pańskich. Z dzieła Odkupienia trzeba wziąć nie tylko motyw do umartwienia ale i do radości. A klucz do niej daje Chrystus: „Aby radość moja była w was pełna", a poprzedzają te słowa inne: „Trwajcie w miłości mojej, zachowując przykazania moje" (Jan, XV, 9, 10). Radość da nam moc do spełniania naszego powołania.

Ks. A. B.

Współpracownicy Boga-Stwórcy

(Listy do Krystyny o możliwościach osiągnięcia świętości w małżeństwie)
XIV.

Krysienko moja!

Z chwilą gdyśmy od samego początku zaczęli rozpatrywać sprawę małżeństwa pod kątem świętości; rad ewangelicznych i heroicznej miłości Boga poprzez miłość małżeńską i rodzicielską — to chyba możemy sobie darować rozpatrywanie różnych makabrycznych i pospolitych przestępstw, które są — jak wiemy — bodaj największą plagą naszego stulecia. Gdyby, bowiem, w naszym wypadku zachodziła potrzeba przedyskutowania tych spraw, byłby to dowód, iż wszystko, cośmy sobie powiedzieli w poprzednich listach, było po prostu jednym wielkim nieporozumieniem. Takim samym nieporozumieniem jak mówienie o wyższej matematyce komuś, kto nie wie na pewno, że dwa razy dwa nie jest pięć. Toteż, oczywiście, zarówno Tobie jak i mnie oszczędzę wzmianki o tych sprawach.

Jednakże ponieważ przez cały czas naszej korespondencji staraliśmy się— tak mnie się przynajmniej zdaje — chodzić obiema nogami po realnym gruncie (choć, jak wiemy wielu było takich, którzy nam zarzucali, iż wszystko, co sobie mówimy, jest „bujaniem") — to uważam, iż tego realnego gruntu nie wolno nam opuszczać do końca. Sądzę więc, że nie powinienem przed Tobą taić, iż — nawet gdyby Twój mąż miał podzielać Twoje pragnienie doskonałości w małżeństwie — może Was jednak nawiedzić i kusić ta zmora współczesnej mentalności, którą nazwano: regulacją urodzin.

Za moich czasów — jak lubią mawiać starzy — czyli za czasów mojej młodości (a były to pod tym względem czasy nie byle jakie, bo czasy Boy'owego „świadomego macierzyństwa") — otóż za tych „moich czasów" problem narzucał się może z jeszcze większą siłą, niż obecnie, był może bardziej agresywny, ale jednak prostszy. Zmora „regulacji urodzin" miała właściwie dostęp zamknięty do sumień naprawdę integralnie katolickich. Każdy z nas wiedział, iż mogło istnieć tylko „tak, tak", albo „nie, nie"! Tertium non datur!

Dziś jednak, dzięki postępom wiedzy medycznej, sumienia naprawdę skądinąd katolickie, zostały obdarzone czymś, co można by nazwać właśnie trzecim wyjściem z tej dawnej rygorystycznie bezkompromisowej sytuacji. Nazywa się to: wstrzemięźliwością okresową. Z pewnością słyszałaś o tym. Jeśli nie, to zapytaj jakiego lekarza, lub którejś z Twych przyjaciółek mężatek. Bo dla naszych celów ważne są nie szczegóły, lecz meritum tej sprawy.

Otóż słowo „wstrzemięźliwość" zawsze brzmi przyjemnie dla każdego katolickiego ducha. Ja sam bardzo je lubię, czego nie mogę powiedzieć o wielu innych, będących w obiegu, terminach naszego katolickiego słownictwa. Jednak mimochodem pozwolę sobie zauważyć, że trochę zanadto i zbyt pochopnie o tym zapominamy, iż grzechy przez opuszczenie należą też do kategorii przejawów wstrzemięźliwości, gdyż są... wstrzymywaniem się od czynnego dobra.

Wracając jednak do tej wstrzemięźliwości, o której mówiliśmy powyżej — to i jej postacie mogą być rozmaite. O charakterze tych postaci decyduje jak zawsze i w każdym wypadku... intencja, która każdej z nich przyświeca.

Istniały i istnieją stadła małżeńskie, które — pod impulsem uczuć, czy natchnień, w które nie naszą rzeczą jest wnikać, (gdyż są to sprawy, co rozegrały się pomiędzy ich duszami, a Panem Bogiem) — postanowiły od pierwszej chwili swego pożycia zachować wstrzemięźliwość do-

zgonną, czyli ślubowały dziewictwo w małżeństwie. Niektórych z nich Kościół wyniosł na ołtarze. Musiała więc ta ich decyzja nosić znamiona heroicznej cnoty i wykonania Woli Bożej. Ponieważ jednak nas interesuje kwestia osiągnięcia cnoty heroicznej poprzez pełnię małżeństwa, więc przed tą postacią wstrzemięźliwości skłonię się tylko z wielką czcią, lecz nie będę się zapuszczał w rozważanie takich ewentualności dla Ciebie.

Natomiast istnieje inna forma wstrzemięźliwości w małżeństwie, którą pragnąłbym, wślad za św. Pawłem, polecić Ci jak najgoręcej i jak najwymowniej Ci zachwalić. Tę która za obopólną zgodą obojga małżonków, składa na pewien czas ofiarę Panu Bogu z największej i najpiękniejszej z ich czysto ludzkich radości. Bo widzisz, prawdziwie po Bożemu pojmowane małżeństwo jest jak symfonia. Instrumenty orkiestry uzupełniają się wzajemnie, stanowiąc razem tło dla partii solisty. W małżeństwie tak samo uzupełniają się wzajemnie zmysły i serce. Jak to powiedział nasz Tadeusz w liście o milczeniu — „trzeba umieć w małżeństwie poprzez wymowę zmysłów wsłuchać się w wymowę duszy", a — dodam od siebie — poprzez duszę, wciągnąć i zmysły do działalności nadprzyrodzonej. Wtedy będą uzupełniały się wzajemnie i zgodnie stanowiły tło dla partii solisty, którą jest miłość Boga, umiłowanie Jego Woli. Ale chwilami w czasie koncertu, wszystkie instrumenty dęte i smyczkowe milkną naraz zgodnie, by rozlegać się mogła wyłącznie solowa partia fortepianu, lub skrzypiec. — Podobne temu są chwile, gdy małżeństwo miłujące się wzajemnie żarliwą miłością przyrodzoną i nadprzyrodzoną, składają na pewien czas tę miłość Bogu w darze, aby oboje móc razem wsłuchiwać się tylko w Jego głos.

Znałem jedno małżeństwo, które — dożywszy niemal że złotych godów w miłości równie świeżej i płomiennej jak za narzeczeńskich czasów — miało we zwyczaju, we wszystkich okresach postu wyrzekać się nawet przelotnego pocałunku. Nie możesz sobie wyobrazić jakie to było wzruszające i niewymownie budujące, gdy się podpatrzyło, jak sobie nawet na powitanie, lub pożegnanie przesyłali tylko pocałunek ręką od ust. Ale gdy — w wieczór wigilijny, lub wielkanocny poranek, dzielac się opłatkiem, lub święconym jajkiem — darzyli się wzajemnie pocałunkiem, w którym była jakaś nie dająca się opisać promienność i namaszczenie — to wszystkim obecnym (którzy wprawdzie udawali, że tego nie widzą) niezmiennie łzy napływały do oczu. To było jak gdyby powtórzenie Sakramentu.

Takimi Bożymi motywami podyktowane okresy wstrzemięźliwości oczyszczają i podsycają zarówno miłość ludzką jak i wspólne miłowanie Boga.

Jest jeszcze wstrzęmięźliwość narzucona z góry szczególnym jakimś zrządzeniem Woli Bożej: chorobą męża, lub żony. Ale wszystkie zrządzenia Woli Bożej, przekreślającej naszą własną wolę, mają zawsze na celu nasze uświęcenie. Takim ludziom jest to widać potrzebne do uświęcenia się na drodze może szczególnie trudnej i ciężkiej dla strony, której Pan Bóg wyznacza rolę dozgonnego pielęgniarza, lub samotnika. Toteż wydaje mi się, iż ta postać sprawy nosi też znamię szczególnego wybraństwa.

Omówiwszy wszystkie powyższe wypadki przepięknej, bo naprawdę Bożej wstrzemięźliwości, wolę Ci od razu powiedzieć, żeby nie było żadnych nieporozumień, że nie znajdziesz we mnie zwolennika tej wstrzemięźliwości, okresowej lub nawet całkowitej, którą dwoje zdrowych ludzi stosuje, ażeby — jednocześnie będąc w porządku z Panem Bogiem i własnymi, doczesnymi, samolubnymi lub ekonomicznymi kalkulacjami — ograniczyć liczbę swego potomstwa. Wydaje mi się, iż nie jestem w błędzie zakładając, że i w Tobie nie znajdę zwolenniczki tej postawy.

Kościół wprawdzie **zezwala na tego** rodzaju „regulację urodzin". Jest to jedyny stosunek do tej sprawy, którego nie piętnuje jak grzech nieprzebaczalny Zalicza takim małżonkom na plus, iż swoją małoduszność i brak ufności w Bogu okupują jednak jakąś — nieraz bardzo dotkliwą — ofiarą. Rozgrzesza ich w mię tego, że przynajmniej nie dopuszczają się profanacji sakramentu i uchybień pzeciwko szóstemu przykazaniu. Ale nie trzeba sobie wyobrażać, że Kościół przymyka oczy na motywy, że ich nie selekcjonuje. Że nie bierze pod uwagę tego, iż (jeśli ci ludzie nie odpowiedzą przed Panem Bogiem z paragrafu innych przykazań) to odpowiedzą przed Nim za grzech przeciwko pierwszemu przykazaniu. Mianowicie za postawienie bożka swej czysto doczesnej arytmetyki ponad całkowitą wiarę w Boga-Opatrzność i Stwórcę. Toteż nie należy się łudzić, iż Kościół taką wstrzemięźliwość w każdym wypadku pochwali.

Bo, trudno, moja Droga, albo wierzymy, albo nie wierzymy! Albo jesteśmy przekonani, że już w czasie zapoczątkowaliśmy wieczność, albo zamykamy całe znaczenie życia w celi czterech wymarów! Albo przyjmujemy za pewnik, że powołując nas do stworzena rodziny, Pan Bóg ma już nad nami swoje z góry uplanowane cele, albo uważamy małżeństwo za sprawę przypadku, którego „przypadkowość" należy ograniczyć do minimum!

Można by tę sprawę wyrazić jeszcze w taki sposób:

a) albo wierzymy świadectwu własnych oczu, które przedstawia nam ziemię, jako płaski talerz, otamowany kręgiem nieboskłonu, a dookoła którego kręci się słońce,

b) albo wierzymy wypowiedziom astronomów i fizyków, którzy nas zapewniają, że ziemia jest okrągła, że się kręci dookoła słońca, a wszechświat jest nieskończonym continuum czasowo-przestrzennym.

Otóż małżonkowie, którzy na podstawie kalkulacji, dostępnych ich doczesnej buchalterii, wyrażają votum nieufności do kalkulacji Pana Boga i uzurpują sobie prawo określania na własną rękę, jaką będą mieli ilość dzieci, są zupełnie jak podróżnicy, którzy by wyruszali ku przygodzie czekającej ich na drugiej półkuli, w przekonaniu, że ziemia jest... płaska!

W Ewangelii roi się od zapewnień, iż my wszyscy którzyśmy żyli, żyją, żyć będą, lub żyć mieli — zostali policzeni przez Stwórcę. Jest o tym mowa i w związku z włosami, z których żaden nie spadnie nam z głowy, bez osobnego wyroku Woli Bożej i w związku z ptakami, które nie sieją i nie żną czy liliami polnymi, które nie przędą i nie tkają. Jest to również implicite zawarte w powiedzeniu: „szukajcie naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a wszystko inne będzie wam przydane"! — Ale bożek naszej krótkowzrocznej ludzkiej doczesności, wciąż jeszcze nie pozwala nam wniknąć w nieomylną prawdę tych słów. Gdybyśmy w tę prawdę umieli uwierzyć bez reszty, zadrżelibyśmy z przerażenia na myśl o tym, jakim prawem ośmielamy się (wtedy gdy Pan Bóg — przez chorobę lub jakieś specjalne wezwanie — sam nie usuwa nas z szeregów współpracowników Swego stwórczego dzieła) odwracać role i dyktować Jemu, zamiast On nam, ile dokładnie cegiełek mamy Mu do tego dzieła dostarczyć! Przypowieść o talencie danym ku rozmnożeniu, a zakopanym w ziemię w obawie przed roztrwonieniem go — jest znakomitą ilustracją postawy małżeństw, które — nawet godziwymi sposobemi — ograniczają rozrodczość przez Boga zamierzoną. Nawiasem mówiąc słyszałem już tezę, że szlachetny cel uświęca niegodziwe środki. Ale nigdy chyba jeszcze nie przyszło nikomu do głowy twierdzić, że godziwe środki uświęcają nikczemne cele. A stawianie naszej naszej woli, wygodnictwa, czy fałszywie pojętej odpowiedzialności ponad zamiary Stwórcy jest — chyba mi nikt nie zaprzeczy — celem niedwuznacznie... nikczemnym.

Oto choćby jeden przykład. Wspomnę znów o rodzicach św. Tereski od Dzieciątka Jezus, gdyż wydaje mi się, iż cały przebieg ich życia toczy się

klasycznym wprost szlakiem świątobliwości w małżeństwie. Wyobraźmy sobie, że dawszy już ziemi i niebu ośmioro dzieci, uznali, że dosyć już było ich służby w szeregach współpracowników Stwórcy i — w sposób jak najbardziej bogobojny i czysty — postanowili się z niej wycofać. I nigdy nie przyszłoby na świat, nigdy nie przeszłoby do wieczności to... dziewiąte! To najważniejsze!... Nie byłoby nigdy św. Tereski!... Brrr... aż strach pomyśleć o ileż ten biedny padół ziemski wyglądałby bardziej jeszcze ponuro! — A przecież pomyśleć nad tym warto ...i trzeba. Cóż nam bowiem wiadomo o wielkich świętych, czy wielkich myślicielach, lub innych wielkich ludziach, których Pan Bóg zamierzał do życia powołać, a którzy smugą swego życia sprawiliby, że świat wyglądałby jeszcze mniej ponuro. Ale te dusze nie zostały nigdy wywołane z niebytu. Bo małe karzełki ludzkie, którym Bóg przeznaczał zaszczytną rolę ich rodziców, uznały, że są mądrzejsze od Stwórcy! Wielki Boże! To jest chyba największy grzech, jaki ciąży na zbiorowym sumieniu ludzkości! Owoc tchórzostwa połączonego z pychą, córką żałosnej krótkowzroczności: I to się nazywa szumnie „rozsądną przezornością"! „godziwym ujarzmieniem prężności biologicznej"!... No, tak! Bo przecie ziemia jest płaska!... To każdy widzi! A całe to gadanie, że wszechświat jest niekończącym się continuum, to tylko takie dykteryjki, których się trzeba uczyć, ale w które przecie nie można wierzyć, skoro sam człowiek gołym okiem nawet widzi, że jest inaczej!... Tak samo z tymi włosami, z których żaden z głowy nie spadnie bez Woli Bożej. To taka sobie tylko ewangeliczna metafora, którą się słyszy z ambony... ale każdego przecie własne doświadczenie nauczyło, że jest inaczej!...

Na szczęście istnieli i istnieją ludzie, których własne doświadczenie nauczyło, że ziemia nie jest płaska. I są też tacy, którym to „własne doświadczenie" dowiodło niezbicie, że „u Boga nie ma nic niepodobnego!" Oczywiście na to, aby takie doświadczenie móc zrobić trzeba najpierw — zamiast łączyć tchórzostwo z pychą — dokonać zaślubin posłuszeństwa z czystością serca pod błogosławieństwem ufności w Bogu trzymanej w cudotwórczych rękach Pani Biedy. Zgadzam się, że to nie jest łatwe. Natomiast jest niezawodne. Toteż, ani te zaślubiny, ani wynikająca z nich pewność, że Pan Bóg nie opuszcza nigdy tych, którzy Mu ufają bez zastrzeżeń — nie należą znów do takich rzadkości.

Na poparcie tego twierdzenia wspomnę znów o jednym stadle małżeńskim, które znałem osobiście. Jakoś mi Pan Bóg dał tę łaskę, iż znałem osobiście sporą ilość świątobliwych małżeństw. Być może dlatego tak mocno uwierzyłem w możność osiągnięcia świętości w małżeństwie. Małżeństwo, o którym chcę Ci opowiedzieć w paru słowach, znałem, gdym sam był jeszcze malcem. Byłem równolatkiem ich najmłodszych dzieci... i najstarszych wnuków! Dzieci tych bowiem mieli... dwadzieścia czworo! Żebyś nie podejrzewała mnie o zmyślenie powiem Ci ich nazwisko: nazywali się Skulbaszewscy. Może ktoś z ich dzieci lub wnuków przeczyta te słowa i potwierdzi Ci ich zgodność z prawdą. — Ojciec był z zawodu listonoszem w małym, kresowym miasteczku. Ale poza tym imał się wszelkiej możliwej roboty, którą powierzano mu chętnie, bo pracownik z niego był tęgi, choć z pozoru drobny i jakiś niepoprawnie młodzieńczy. — Chodził w mundurze artystycznie łatanym i nicowanym przez jego przemiłą, również drobną i rumianą jak renetka małżonkę. Po urodzeniu się którego tam z rzędu dziecka, pan Skulbaszewski wyrzekł się nawet swej jedynej tak dotąd słabostki: tytoniu. Bo już słusznie uważał, że go nawet na to nie stać. Ale ta krańcowa asceza w niczym nie przyćmiła jego filuternego uśmiechu, (bo jak wszyscy ludzie spod znaku Pana Boga — dziadzio Skulbaszewski był wesoły, bardzo wesoły: zwłaszcza w towarzystwie nas, malców, potrafił dokazywać, nieraz i lepiej od nas). Widać sam Pan Bóg chciał mieć tę śliczną rodzinę przy sobie, gdyż mieszkali

w maleńkim domeczku tuż koło kościoła.

Gdy dziadzio Skulbaszewski umierał, obecne były prawie wszystkie jego dzieci, sporo wnuków, żona i stary proboszcz miejscowy. Po wyspowiadaniu się, przyjęciu Wiatyku i ostatnich Sakramentów św. staruszek wpatrywał się w krucyfiks, który trzymał przed nim, klęczący przy łóżku najstarszy jego wnuk, kleryk. Młodzieniec prosił dziadka, by powtarzał za nim słowa aktów wiary, nadziei i miłości. Ale staruszek już stracił mowę choć po jego spojrzeniu, wlepionym w Pana Jezusa Ukrzyżowanego widać było, że jest zupełnie przytomny i jeszcze w pełni władz umysłowych. Wówczas, stary proboszcz, który przez wiele lat spowiadał tę heroiczną parę, wstał gwałtownie. Szerokim gestem wskazał na wszystkich obecnych i powiedział głosem, urywanym od hamowanego łkania: „Wy wszyscy jesteście jego chodzącymi aktami wiary, miłości i nadziei"!... Po czym rozpłakał się na dobre. A umierający tylko spojrzał na niego porozumiewawczo, ze swoim — do końca filuternym — uśmiechem.

Ciekawe, iż przed kilku zaledwie tygodniami otrzymałem potwierdzenie, iż „dziadziowie" — jak ich zwano — nie byli bynajmniej jedynymi przedstawicielami gatunku bohaterskich „ufających w Bogu". Jadąc pociągiem trafiłem na przedział w którym rozmowa toczyła się na temat wielodzietnych rodzin. Wspomniałem o Skulbaszewskim. Jakaś pani zakrzyknęła i oświadczyła wręcz, że „naciągam". W kącie przedziału siedziała góralka, lat około 35, przystojna i krzepka. Jechała z dwoma młodszymi od siebie braćmi, co widać było od razu po uderzającym podobieństwie. Cała trójka spojrzała po sobie i wybuchła szczerym śmiechem. „My som dwadzieścia pięć!" powiedzieli razem, jak na komendę. „Wszystko się wychowało i wszystko kształcone". „A matula do tych pór żyjom!" Po czym siostra dodała z dumą: „A ja to już mam ośmioro!" Od pierwszego wejrzenia można było stwierdzić, że ci ludzie tacy przystojni, rośli i do śmiechu skorzy, nie wychowali się w zbytkach. Co nie przeszkodziło córce kontynuować tradycję rodziców.

Rozpisałem się, Krysiu. Ale też jest to temat, którego by nawet tomy nie wyczerpały. — Przy tym mam dziwne przeczucie, że i Ty wzbogacisz moją wiedzę o możliwościach osiągnięcia świętości w małżeństwie, stwarzając jeszcze nową odmianę heroicznego stylu Skulbaszewskich, Elżuni i tylu innych świątobliwych małżonków, których miałem szczęście znać i podziwiać.

Tylko jeszcze jedno słowo. Gdyby się zdarzyć miało, iż mimo Twej ufności w Opatrzność, Wola Boża miała powołać do siebie, któreś — lub nawet więcej — Twoich dzieci już od progu życia, to zechciej wierzyć, że i ta duszyczka, choć ledwo ochrzczona, była potrzebna planom Bożym, dla celów przed nami zakrytych. Niech więc nawet ból matki, która tracąc dziecko, ulega smutnemu złudzeniu, że nie było ono widać potrzebne ni Bogu, ni ludziom, nie zamąci Twego spojrzenia, wpatrzonego w nieskończoność i nie nadwątli Twej wiary w Miłosierdzie i Wszechwiedzę Ojca w Niebiesiech.

* * *

23-cia w nocy.

Nie mogłem zasnąć, Krysiu... Czułem, że muszę raz jeszcze w ciszy i skupieniu nocy odczytać ten list, zanim go wyślę. Wstałem... Odczytałem... I ogarnęło mnie straszliwe, palące uczucie wstydu...

Usiłowałem się bronić przed samym sobą. Przecież nie mogę cofnąć niczego, com tu powiedział — powtarzałem sobie. Przecie tak właśnie, a nie inaczej wygląda prawda... A skoro Krysia marzy o świętości... czyż mogę zająć chwiejne stanowisko..., stawiać sprawę tak doniosłą pod znakiem zapytania... pod znakiem choćby najlżej zarysowanej kompromisowości?... Nie o kompromisy tu chodzi — odpowiedziało uczucie wstydu. Nie o sedno sprawy w którym masz słuszność. Ale wsłuchajże się w brzmienie własnych słów. Tyle w nich zimnego szyderstwa... polemicznej zaciekłości... a prawie, że ani odrobiny tego, co być powinno: pokory wobec heroizmu, który przed-

stawiasz jako rzecz naturalną... po prostu logiczną tylko... miłującego, bratniego współczucia dla tych, co nie umieją... może być nawet nie mogą być od razu... święci... wsłuchajże się w ton, jakim ośmieliłeś się mówić o sprawach ociekających krwią... potem...łzami...

Przymknąłem oczy... i oto ujrzałem ich nagle... współpracowników Boga-Stwórcy... Gmach Królestwa Bożego stał w blasku monumentalny, wspaniałością przewyższający wszystko „co oko widziało, o czym ucho słyszało"... a oni uwijali się przy budowie... legion nieznany, jak anonimowe zastępy budowniczych średniowiecznych katedr... Znosili cegłę... w wychowawczym trudzie dźwigali ją ku górze... czasem wymykała się im z rąk, spadała ciężko ku dołowi... lecz oni, niezrażeni, wracali ku ziemi po nowy budulec... „Akrobaci Boży" nieustraszeni, przeskakiwali czeluście lęku, chwytając się przęseł ufności..., męczennicy posłuszeństwa z uśmiechem tryumfatorów na ustach, pięli się wąsko jak ostrze miecza podniebną deską rusztowania, wiodącą na sam szczyt iglicy...

Mignęła mi postać Elżuni... rysy twarzy i duszy tak bliźniaczo podobne do rysów wielkiej świętej z Lisieux... i babcia Skulbaszewska... drobniutkie ciało, które wiara, nadzieja i miłość rozmnożyły jak ewangeliczny chleb... i — nie widziana nigdy,, a tak swojska jednak — twarz „matuli, która jeszcze żyjom"..., twarz pociągła i zbrużdżona aż do kości, jak wąski zagon górski tylokrotnie przeorywany, aż do skalistego podglebia, by móc wyżywić tych, co „som dwadzieścia pięć"...

Obsunąłem się na kolana... sam nie wiedziałem jak i kiedy począłem się modlić... modlić do tych świętych, których zna tylko Bóg... do tych świętych, których kanonizacja odbyła się napewno... ale dopiero w Domu Ojca, „gdzie jest mieszkania wiele", w Bazylice stojącej u szczytu „wzgórz wiekuistych"...

Bezładnymi słowami zapewniałem ich, że wiem... wiem, że im samym niczego więcej nie potrzeba... że otrzymali nagrodę przeobfitą... ale że dla nas... abyśmy mogli mieć orędowników i wzory z własnego „zakonu"... abyśmy mogli krzepić się wiarą w celowość naszej męki i wierności... i dla tych, co opadają z sił... i dla tych, co wątpią i nie umieją spodziewać się cudów Najmiłosierniejszej Opotrzności... dla nas wszystkich, żyjących jeszcze w ciasnych wymiarach doczesnych... niech będzie wreszcie też i... „Urbi et Orbi!"...

Jan Rybałt.

ŻYCIE KATOLICKIE

* Jak donosi wikariusz apostolski z Mombasa, liczba katolików Ugandy (Afryka Wschodnia) przekroczyła w ostatnim czasie cyfrę jednego miliona na ogólną liczbę 3,5 miliona mieszkańców.

Tygodnik katolicki, 1951, Nr 19.

* W dniu 17 czerwca br. nowy Ordynariusz Diecezji Częstochowskiej J. E. Ks. Bp Dr Zdzisław Goliński objął rządy swej diecezji.

* Obecnie przygotowują film odtwarzający życie i czasy błog. Piusa X. W fil-

nie tym Pius X będzie przedstawiony jako pierwsza ofiara Wielkiej Wojny (zmarł bowiem w kilka dni po jej wybuchu) i jako człowiek pełen humanitarnego podejścia do ludzi.

* W dniach od 21 do 23 sierpnia rb. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim odbyły się specjalne wykłady dla duchowieństwa na temat: Sakrament Pokuty w nauce i w życiu Kościoła.

* Statystyka Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. stwierdza, że w ubiegłych 12 latach przeszło na katolicyzm więcej niż milion dorosłych, z tego w roku 1949 — 120 tys. osób. Pomiędzy powodami silnego wzrostu konwersji podawanymi przez władze, przytoczone zostały w pierwszym rzędzie wzorowa organizacja Kościoła we wszystkich dziedzinach publicznego i religijnego życia. Wielką rolę odgrywa także i prasa kościelna, informująca szerokie rzesze ludności w sposób najdokładniejszy o życiu i instytucjach Kościoła katolickiego.

* Ojcowie Franciszkanie otworzyli w Tokio szkołę, w której misjonarze przyjeżdżający do tego kraju będą się przygotowywać do pracy misyjnej.

* Córka japońskiego admirała Yamamoto, katolika, imieniem Brygida wyjechała ostatnio do Francji, by wstąpić do „Instytutu Jezusa Ukrzyżowanego" przyjmującego do siebie takie kobiety którym nieuleczalna choroba jest przeszkodą w przyjęciu do innych zakonów. Życie chorych upływa na ofiarowaniu Bogu swych cierpień za bliźnich. Zdrowe zajmują się sprawami utrzymania domu. Zakon ten istnieje zaledwie dwadzieścia lat, i ma swój dom w miejscowości Brou-sur-Chantereine (Dep. Seinet-Marne).

* Na wzgórzu Medea w pobliżu Gorycji we Włoszech poświęcony został 6 maja br. wśród podniosłych uroczystości tzw. „Ołtarz pokoju", wybudowany ku czci poległych i zmarłych wszystkich narodów. Ołtarz zawierający prochy pobojowisk włoskich ma być symbolem zbratania i pojednania wszystkich narodów. Niedziela. 1951. Nr 27

* W lipcu br. odbył się w Paryżu piąty Narodowy Kongres Opieki nad dzieckiem. W zjeździe uczestniczyło piętnaście narodowości. Głos zabierali lekarze, psycholodzy i teologowie. Przedmiotem obrad było: Kształtowanie sumienia dziecka.

* W ciągu sześciu lat powojennych oddano do użytku w Tokio 9 nowych kościołów, budowa dalszych trzech zostanie ukończona w najbliższych miesiącach.

* W czasie działań wojennych na Korei zginęło 3 biskupów, 40 księży, 10 zakonnic.

* Od r. 1948 odprawia się w Rzymie w Bazylice św. Piotra przed ołtarzem św. Józefa codzienna msza św. o pokój. Zaprowadzono ją z polecenia Piusa XII. Ostatnio kardynałowie, biskupi i arcybiskupi wielu krajów postanowili zapewnić przyszłość tej mszy przez składki fundacyjne. Myśl ta posiada głębokie uzasadnienie w nieskończonej wartości ofiary Chrystusa którą składać należy w intencjach całego Kościoła i całej ludzkości.

* W Niemczech zakończył się ostatnio proces przygotowawczy do beatyfikacji O. Adolfa Kolping.

* Na kursy teologiczne w Tokio, prowadzone przez Ojców Jezuitów z Uniwersytetu Sophia zapisało się 361 osób. Kurs trwa dwa lata i obejmuje lekcje teologii, apologetyki, egzegezy i historii Kościoła. Pierwszy taki kurs zaprowadzono w r. 1949 w 400-lecie św. Franciszka Ksawerego. Zebrał on 200 słuchaczy. W maju br. po egzaminach arcybiskup Tokio Piotr Tatsuo Doi wręczył dyplomy 72 osobom.

TREŚĆ NUMERU

„POD OPIEKĄ Św. JÓZEFA"

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej i Zakonnej. 7403 51

Redaguje Kolegium
Adres Redakcji:
Redakcja „Pod Opieką św. Józefa"
Kraków
ul. Rakowicka 18
Konto:
Wydawnictwo Karmelitów Bosych
Kraków
PKO. Kraków Nr. IV — 842/115

Adres dla spraw prenumeraty:
Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu
„Ruch" Oddział w Krakowie
ul. Lubicz 42
Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo
Kolportażu „Ruch" Kraków
Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwo Religijne i Naukowe
PKO. Kraków Nr IV — 9451/110

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł.

KRAKOWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE ZAKŁAD 7 — KRAKÓW

M-2 18565 Druk ukończono 7. IX. 1951. 382